PION

CENA 50 GR.

ROK V NR. 44 (213)
WARSZAWA
4 LISTOPADA
1937 ROKU

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TREŚĆ

MARIA DĄBROWSKA — RYCERSKIEMU PRZECIWNIKOWI
BOGUMIŁ JASINOWSKI — KONGRES FILOZOFICZNY W PARYŻU
MARIA RUDNICKA — PROCES O LITERACKI DEBIUT BISKUPINA
CZESŁAW JANCZARSKI — NOCNY PTAK
ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA — PROZA POETYCKA

JULIAN PRZYBOŚ

MIĘDZY WIERSZAMI

„Chleb jest pożyteczniejszy od poezji, lecz najgorętsza miłość nie jest bardziej pożyteczna niż poezja" — taki napis czytam na opasce reklamowej nowego tomiku wierszy znanego nowatora francuskiego. Ktoś uprzedzony do ruchu nadrealistycznego, lub ktoś niechętny jego krańcowości mógłby posądzić tę sentencję o przesadę, zwykłą każdej reklamie. Czyżby naprawdę dwiema najpożyteczniejszymi rzeczami na świecie były chleb i — poezja? Taka bowiem, jak mi się zdaje, jest intencja przytoczonego zdania. Że chleb jest najpożyteczniejszy — z tym zgodzi się każdy prosty człowiek. Lecz prosty człowiek rzadko bierze do ręki książkę z wierszami. Tym gorzej dla niego! Znana jest odpowiedź Hegla na zarzut, iż fakty nie zgadzają się z jego rozumowaniem; filozof odpowiedział: tym gorzej dla faktów. Otóż pewien poeta powiedział tak: Ludzie nie czytają poezji? Tym gorzej dla ludzi! Nigdy nie odczują że naprawdę istnieją.

Nie grozi to Francuzom. Francja jest krajem, gdzie poezja jest potrzebą powszechną. Gdy przystając przed oknami wystawowymi księgarń paryskich, odkrywam co chwila nowe wydanie *Kwiatów grzechu* Baudelaire'a i coraz to inne wybory wierszy Verlaine'a, domyślam się jak wielka jest potrzeba tej poezji. Długie rzędy młodych ludzi pochylonych w bibliotekach nad książkami z wierszami domysł mój potwierdzają. Powie ktoś, i słusznie, że Francuzi wolą czytać uznanych już mistrzów i że bieżąca produkcja poetycka mało ich zajmuje. Być może. Lecz któż zobaczy w księgarniach polskich wybór wierszy Tetmajera, poety, który w pewnej mierze był naszym Verlaine'm i Baudelaire'm? Żaden z wydawców nie podjął się tego dzieła z okazji jubileuszu poety Podhala. Nie miejmy pretensji do wydawców, to nie ich wina. Nikt nie zdobył się na odwagę przedruku wierszy Tetmajera, bo u nas prosty człowiek nie chce odczuć, że istnieje: bo u nas prosty człowiek nie czyta poezji.

Poezja jest sprawą wieczną, poezja jest niezniszczalną potrzebą duszy ludzkiej, nie trzeba się bać o jej przyszłość, odrodzi się i odkwitnie — powiada Jules Romains we wstępie do swojego poematu p. t. *Człowiek biały*. Ale i on dostrzega kryzys poezji. Nie chodzi mu o kryzys czytelnictwa, o to, że ludzie rzekomo coraz rzadziej biorą do ręki książki pisane wierszem. Jules Romains zwraca uwagę na przesilenie w łonie samej twórczości poetyckiej. Na to, że logika rozwoju mowy wiązanej doprowadziła do niebezpiecznego punktu martwego. Zdaniem Jules Romainsa, należy poezję wywieść z laboratoriów formy na szeroki szlak wielkich tematów humanistycznych.

Jules Romains jest znakomitym powieściopisarzem, cenionym dramaturgiem, lecz słabym poetą. Nie chce mi się wierzyć w jego diagnozę. Kryzys poezji? Nie dostrzegłem kryzysu poezji francuskiej. Nie daję również wiary pesymistycznym głosom o liryce francuskiej bijącym z Polski. Kto mówi, że we Francji wyschło źródło inspiracji lirycznej i że pulsuje ono tylko w Rosji i — pod jego wpływem — w Polsce? To pomyłka tych poetów i krytyków polskich, którzy poddani wpływom liryki rosyjskiej, nie rozumieją jej wtórności; wszakże symbolizm rosyjski wynikł ze zdobyczy symbolizmu francuskiego i z niego czerpał. Zapatrzenie się pewnej grupy poetów polskich we wzory liryki rosyjskiej świadczy o ich estetycznym zacofaniu.

Lecz — czy istnieje postęp w poezji? Czy mówiąc o zacofaniu poetyckim nie popełniamy błędu, przenosząc do spraw wieczyście niezmiennej poezji pojęcie postępu, należące przede wszystkim do dziedziny nauki i techniki? Odpowiedź jest prosta: jeśli poezja pojęta metafizycznie, poezja jako źródło i zasada twórczości, jest niezmienna i ta sama, to jej forma podlega nieustannemu rozwojowi. Nie można dzisiaj pisać epopei wierszem *Iliady*. Co więcej: kto zatrzymuje się na jakiejkolwiek formie już osiągniętej, tym samym cofa się, odchodzi od poezji. Staje się epigonem. Nieustanne rozwijanie nowych środków wyrazu — oto warunek żywej poezji. A od stu lat prawie kierunek tego rozwoju formy i treści wyznacza twórczość poetycka Francji.

Od dawna już pragnąłem zanurzyć się w niespokojny nurt nowej poezji francuskiej, zrozumieć sens jej ustawicznych przemian, wytyczyć jej wiry i mielizny, przeczuć główny kierunek jej prądu. Pragnienie się spełniło. Wielokrotne wędrówki po księgarniach bulwarów St. Germain, St. Michel i Montparnasse były dla mnie spacerami po raju. Wspaniałe, grzeszne, baudelairowskie jeszcze anioły wiodły mnie po bibliotekach, w których żyją poezje starych mistrzów symbolizmu, ale na porankach i wieczorach poetyckich asystowały nowe groteskowe aniołki Maxa Jacoba, poety, który z upodobaniem zniekształca tematy biblijne. Jak umacnia i wzrusza obcego poetę kult, wiecznie żywy, jakim darzą młodzi literaci francuscy wielkiego buntownika poezji, Rimbauda! Chyba każdy sezon wydawniczy rzuca w Paryżu na rynek księgarski nową książkę o jasnowidzącym Janie Arturze. Nie znaczy to, żeby współczesna poezja francuska żyła ciągle jeszcze zdobyczami rewolucji symbolistów. To tylko spojrzenie wstecz, usprawiedliwiające nową rewolucję do tej pory trwającą, permanentną rewolucję wszczętą przez Guillaume Apollinaire'a.

Przyjaciele ruchu awangardowego w Polsce zapytują mnie w listach: Co słychać w Paryżu? Jaka jest nowa poezja francuska? Czym się różni od polskiej? Czy prawda, że surrealizm się skończył? Czy pojawił się jaki nowy kierunek? Gdyby mi przyszło na tyle pytań odpowiedzieć jednym zdaniem, powiedziałbym: ruch poetycki we Francji jest bujniejszy i wielostronniejszy niż się spodziewałem. Kilkanaście ośrodków poetyckich w Paryżu, mnogość pism poświęconych wyłącznie poezji, rozsianych po większych miastach prowincjonalnych — wszystko to utrudnia określenie zasadniczego kierunku rozwojowego nowej liryki francuskiej. Obok wierszy klasycystycznych i retorycznych, przypominających wiersze Skamandrytów, w takim np. *Pain blanc*, czytam rozwichrzone, pełne szalonej fantazji utwory w *Feux de Paris*, niepodobnę w swojej swobodzie do najśmielszego asocjacjonisty polskiego, Brzękowskiego czy dawnego Czechowicza. Czym tłumaczyć ten dziwny paradoks współistnienia sprzecznych stylów poetyckich? Czy to tylko zwyczajny objaw walki nowatorów z tradycją? Młodzi stwarzają nowy styl, ale starzy nie ustępują z pola, trzymając się starych form? Ależ krytyka francuska dawno już adoptowała i uznała te najskrajniejsze osiągnięcia Eluardów i Bretonów. W przeciwieństwie do nieufnej krytyki polskiej, która z największym tylko oporem wdaje się w rozważania teoretyczne o nowej liryce — we Francji moc studiów i szkiców krytycznych bada drogi nowatorów. I co ciekawsze: częstokroć recenzenci, jeśli co zarzucają poetom modernistom, to odstępstwo od ich pierwszych śmiałych zdobyczy. Jeżeli u nas krytyk poetycki chwali awangardzistę, to za „uspokojenie się", za powrót do tradycyjnych form, za umiarkowanie, do którego dochodzi ów buntownik dojrzewając rzekomo z latami. Toteż ten brak zrozumienia dla usiłowań nowatorskich wiedzie często naszych młodych liryków, mających za sobą przeszłość awangardową, na ugory pseudoklasycyzmu.

Surrealizm? Ten ruch aestetyczny, więcej niż poetycki, więcej niż malarski. Nad sprawę natychmiastowych osiągnięć artystycznych wyniósł ideę nowego, wyzwolonego człowieka. Wyzwolonego z czego? Rewolucja nadrealistyczna trwa i niesposób na to odpowiedzieć jednoznacznie i ostatecznie. Jedno jest pewne. Nieulękłość badawczego wejrzenia w otchłanie psychiki ludzkiej rokuje temu buntowniczemu kierunkowi dotarcie do dalszych zdobyczy, także estetycznych, niż mechaniczne gesty futuryzmu.

Nie było wielkiej poezji, która by wyszła z założeń jedynie estetycznych, która by ponad pisanie krwią stawiała pisanie atramentem. Jeśli prawdą jest, że rewolucja w zakresie formy jest zarazem rewolucją w zakresie treści, to nie znaczy to, żeby tej rewolucji formalnej można było dokonać drogą spekulacji. Nie ma nowej formy bez nowej treści, lecz może być forma pozornie nowa, tj. wprawdzie odmienna jakoś od dotychczasowej, lecz skrywająca banalną treść. Wyjść trzeba po staremu — z nowej wizji świata.

Nowe widzenie świata oprzeć się musi o jego codzienny wygląd, o technikę życia, inną w każdym okresie. To prawda. Lecz wywodzić nową sztukę z takich faktów, jak dominacja maszyny w życiu współczesnym, szybkość itp., jak to czynił futuryzm — to naiwne łączenie wielkiej sprawy nowego życia z jego pospolitą powierzchownością. Objawienia poezji spełniają się w kręgach doznań głębszych, bardziej skomplikowanych niż takie spostrzeżenia powszechnych objawów życia miejskiego. Marinetti uchwycił w swoich manifestach zaledwie naskórek naszego wieku, nie dotarł do formacji centralnych jego duchowości, i dlatego futuryzm włoski nie stworzył wielkiego stylu, dlatego skończył się na dziecinnych „słowach na wolności".

Podobnie naiwna jest nadzieja, która wiąże odnowienie poezji z nowymi ideologiami politycznymi. Słuchaliśmy do niedawna tromtadracji tzw. poezji proletariackiej pisanej przez inteligentów; obecnie powtarza się równie złą tromtadrację „narodową", huczącą masowo w pismach rodzimych faszystów.

Nowa wizja człowieka rodzi się w samotniejszych i osobniejszych wzruszeniach, niż ten pospolity wrzask przekupniów politycznych. Nie dokonuje się ona drogą tłumaczenia haseł politycznych na metrykę, ani też drogą spekulacji na temat pospolitych faktów życia codziennego; dzieje się ona drogą okólniejszą i dalszą. Jaką? Przykład rewelacji poetyckich takich objawicieli, jak Słowacki z okresu mistycyzmu, lub Rimbaud z *Iluminacyj*, wyjaśnia niewiele. Jak powiązać wizjonerstwo Słowackiego, autora liryk mistycznych, z nadciągającą Wiosną ludów, a alchemię słowa Rimbauda z wojną francusko-pruską i karabinem odtylcowym?

Nie ma reguły dla liryka. Z nadrealizmu można wywieść wiele sprzecznych haseł. Warto ogłosić jedno, które nazwałbym bohaterstwem bezwstydu. Hasło to wydaje mi się płodniejsze niż paradoksalny w liryce „wstyd uczuć". Jak najsurowsze wnikanie w podglebie wzruszenia, oddzielanie tego, co powszechnie przyjęte, a więc wspólne i banalne, od reakcji nieznanych ogółowi, rezygnowanie z tej szczerości, którą określiłbym mianem szczerości mechanicznej. W imię czego? W imię szczerości najtrudniejszej, takiej która nie oszczędza ani przedmiotu ani podmiotu uczucia, a którą dopiero trzeba w sobie wychować. Powiedzenie: „Weseli się moje serce, weseli i śpiewa" — nie znaczy nic. Lecz nie znaczy też nic retoryka peryfraz i osłonek, jeśli jest maskowaniem banalnego odczuwania świata.

Może ta okrutna szczerość, która wyważa same korzenie wzruszenia, — może ona jest przyczyną, że rewolucja w liryce przeszła w permanentną? Czy tym też tłumaczyć tak długoletnie zmaganie się dwu dążeń we-

współczesnej poezji: zachowawczego i rewolucyjnego, zmaganie, które dotychczas nie doprowadziło do zdecydowanego rezultatu? A dlaczego próba pogodzenia stylu tradycyjnego z nowatorskim nie daje dobrych wyników? Tutaj muszę wtrącić ważne zastrzeżenie. Stawiając takie pytanie, upraszczam, sprowadzam rożnorodne dążenia do dwu głownych kierunków: tradycyjnego i postępowego, lecz najwięksi poeci francuscy, których by należało dzisiaj zaliczyć do zwolenników tradycji, tacy mistrzowie jak Claudel, Valéry, Supervielle — w Polsce uchodziliby za modernistow.

Odpowiadam: Rewolucja apollinairowska w poezji wstrząsnęła do gruntu samą postawą poetycką, uczyniła to o wiele głębiej, niż rewolucja symbolistów, dokonana przed pół wiekiem. Symbolizm wyzwolił ostatecznie tajemne dążenie wszystkich poetów, aby stworzyć nowy język, mowę swoistą, niezależną i odrębną od mowy zwyczajnej, od mowy prozy. Jednakże nie zmienił on w zupełności dawnej postawy uczuciowej poety. Symboliści, tak samo jak wszyscy ich liryczni poprzednicy, dążyli do wyrażania mniej lub więcej określonych uczuć ludzkich, takich jak radość lub smutek, lub tak rozwiewnych jak woń pieśni słowiczej. Woń pieśni? Właśnie, trzeba było subtelności symbolistów, aby potem ludzie mogli przeżywać takie dziwne wzruszenie. Symboliści przepędzili z języka poezji tematy opisowo-narracyjne, wykluczyli z niej epikę. — Rewolucja poetycka Apollinaire'a we Francji, Marinettiego we Włoszech poszła dalej: zburzyła ostatnie jeszcze kanony sztuki wierszowania, jakie zachowywano po wynalezieniu wiersza wolnego. Rozebrano mowę wiązaną po kolei z gorsetów miarowych wierszy i zwrotek, z błyskotek rymu, ze składni nawet. Z próby tej wyszła mowa poetycka niepokojąco naga. Szukano poezji niezależnej od wersyfikacji, poezji czystej. Czysta poezja? Czyż można osiągnąć taką poezję esencjonalną, usunąwszy z niej to, co dotychczas, co przez wieki uchodziło za jej nieodzowny warunek? Czy nie będzie to raczej nieudolny bełkot niemowlęcia, nie znającego najprostszych reguł języka? A właśnie. Rewolucjoniści nie ulękli się takiej nawet próby, i jak kubiści i neoplastycy w malarstwie rozłożyli przedmiot na czynniki najprostsze — oni język poetycki rozczłonkowali na elementy, aby... Jedni z nich, błyskotliwi lecz powierzchowni, jak Marinetti i jego futuryści, skończyli na tym zatomizowaniu języka, na „słowach na wolności", i — dzisiaj się już nie liczą. Lecz inni, noszący w sobie przeczucie nowych światów, wybrali drogę dalszą i trudniejszą: przez długie lata permanentnej rewolucji stwarzali żmudnie nowy, jedyny język integralnej poezji. Kto włada tą mową bogów, kto osiągnął już na Parnasie ów szczyt nazwany „poezją czystą"? Nie wiem. Nie widzę we Francji nikogo, kto by postawił stopę na tej skale Kaliopy, dostrzegam jednak wielu niezwykle śmiałych, nieraz nawet bohaterskich poetów, wdzierających się na nią coraz to innymi urwiskami.

Wznoszenie dzieła poetyckiego to budowanie samego siebie. Rewolucja dokonana w poezji wstrząsnęła dawną postawą poetycką. Zdaje się jakby dawne zadanie liryki: wyrażanie uczuć ludzkich, zwykłych życiowych uczuć, choćby nawet tak subtelnych, jak doznanie zapachu melodii — zanikało stopniowo. Jakby w fanatycznym porywie ku absolutnemu językowi poezji poeci nowatorzy przestali się troszczyć o utrwalenie swych wzruszeń pokrewnych podobnym, powszechnie ludzkim wzruszeniom. Jakby poezja stawała się wyzwoloną z przypadkowych namiętności, samą *zasadą* tworzenia, manifestacją prometejskiego rzutu w przyszłość, pierwiastkiem bezinteresowności, absolutnym czynem duchowym. Że poezja to skrzydła całej literatury — to prawda uznawana powszechnie. Lecz nowatorzy ze skrzydeł uczynili — najpierw tęczową śmigę, potem sam lot bez skrzydeł i śmig, a w końcu samą ideę lotu. Chcę powiedzieć, że wyzwoliwszy poezję z wszelkich więzów dawnej formy i z wszelkich serwitutów wspólnej życiowej treści, postawili sobie zadanie najtrudniejsze: zadanie najwyższego natężenia wizji — bez pośrednictwa takich aparatów nośnych dawnej poezji jak rym, zwrotka, barwny opis, relacja o znanych uczuciach. Czysta poezja! Powie ktoś, że pobrzmiewa w tym echo romantyzmu, że dosłuchać się tu można zdania Novalisa, nazywającego poezję realnością absolutną i absolutną prawdą. Nie, nie o metafizykę nowatorom chodzi, ale o najwyższy czyn humanistyczny. Nie o loty ku bóstwu, lecz ku przyszłemu człowiekowi, ku człowiekowi zdobywcy.

Dziwić może fakt, że w literaturze francuskiej, że właśnie w tej literaturze, której świecą klasyczne ideały jasności — poezja doszła do skrajnego rozwichrzenia i swobody antyklasycznej. Że też to w tej mądrej literaturze, którą akademik Duhamel porównuje do kościoła zorganizowanego na ścisłych przykazaniach i przymusach, żyje i krzyczy *enfant terrible* takiej liryki. Lecz to szalone dziecko literatury jest dziecięciem pieszczonym, któremu darowuje się wszystko i któremu wszystko wolno. Bo właśnie „rozumne szaleństwo" jest — i o tym wie Duhamel — warunkiem każdej odkrywczej poezji. Jest wielu takich liryków, którzy mieli tylko krotki okres owego jasnowidzącego szaleństwa, a mianowicie wtedy, gdy odkrywali swoją poezję — potem stawali się tylko wierszopisami, tymi, którzy powtarzają własne odkrycie w setkach wierszy. Przykład wielkich szaleńców poezji, takich jak Rimbaud, jak Apollinaire, wskazuje, że aby być poetą, a nie tylko wierszopisem, *nie wolno powtarzać*. Nie wolno powtarzać nie tylko ich, genialnych inicjatorow, ale nawet samego siebie.

JULIAN PRZYBOŚ

ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA

Ś M I E R Ć

Po przeleżeniu całej nocy na pobojowisku dojrzał gwardzista o świcie obok wypukłej manierki i sterczących buciorów jakiegoś zakatrupionego kamrata przykucniętą niewiastę ze skrzydłami, która zacisnąwszy usta bystro się w niego wpatrywała.

Domyślił się tedy, kto by to był i zaśmiał rubasznie, jak przystało bohaterowi.

A ona wstawiła mu w twarz przestronne ślepia, a potem szorstkim jak u suki językiem wylizawszy wolno krew z ran, odpełzła precz i legła poziewając.

Wtedy roześmiał się po raz drugi jeszcze bardziej pogardliwie i czując, że oddala się od niego wszystko — niebo i ziemia, zadziwił się powoli i całkowicie.

Tak zobaczył go książę, który w godzinę później przyszedł ze świtą na pobojowisko, oparty na lasce, z kraciastą chustką dokoła wzdętej gardzieli, zły i kaszlący jak zwykle. Zobaczył ich oboje: młodziutkiego, zesztywniałego już oficerka i śmierć.

P R Z E D W I O Ś N I E

I

Nocą od bliskich gór nadchodzi wiatr. Targa okiennicami i przygina do ziemi wątłe drzewko, zasadzone w zeszłym roku, i z suchym trzaskiem przewraca doniczki na werandzie.

A potem o świcie wszystko ustaje. Mały, płowy pajączek wędruje nieskończenie ku słońcu po zwilżonym płocie, wśród pajęczyny obciążonej kropelkami rosy. Koza stęka w obórce, gruchają gołębie, a drogą przetacza się od miasta wóz z pieczywem i ginie w fałdzie parowu, w czystym i obfitym cieniu jaworów.

II

Czy to od gór wieje ten wiatr, pierwszy wiatr wiosenny? Przesypuje się między gałązkami kruchymi jak klejnoty i głaszcze wystające gdzieniegdzie z ziemi łodygi zeszłorocznych chwastów.

Butwieje zielona altanka, a domek z cegieł, pełen doniczek i motyk, stoi opuszczony w swej delikatnej ozdobie dzikiego wina.

Któż wypowie te klasyczne uroki nadciągającej wiosny i wdzięk przechadzek po zboczach, okrytych trawą o nieokreślonej barwie.

Z dołu, z samego dna doliny dobiega burczenie syreny i błyska stateczek, jeden z pierwszych, jakie ukazały się na rzece, odkąd z szumem spłynęła z niej zimowa kra.

MARIA RUDNICKA

PROCES O LITERACKI DEBIUT BISKUPINA

W numerze *Pionu* z 23 września zamieścił p. Hieronim Michalski artykuł p. t. *Literacki debiut Biskupina*, który przeczytałam z tym większym zainteresowaniem, iż jest on omówieniem wspólnej mojej z mężem pracy *Dziw* (opowieści osnutej na tle życia Prasłowian). Recenzja p. H. Michalskiego robi na ogół wrażenie życzliwej, jeśli zaś wskazuje na braki *Dziwu*, winnam mu za to jedynie wdzięczność, gdyż z kompetentnych a sprawiedliwych uwag krytyka czerpią roztropni autorzy naukę na przyszłość. Zabieram więc teraz głos w tej sprawie, rzecz prosta, nie po to, by upodobnić się do znanego wierszoklety z komedii Moliera, który odpowiada ganiącemu jego produkcje: „Et moi, je soutiens que les vers sont fort bons"! — lecz dla poruszenia pewnej bardzo ważnej kwestii, ściśle związanej z zasadniczym założeniem *Dziwu*.

Z powodu opublikowania tej naszej pracy wspomina p. H. Michalski o *Starej baśni* Kraszewskiego, co pozwala „zobaczyć różnicę, jaka zaszła w tendencjach powieściopisarza historycznego, a zarazem zwrócić uwagę na cenną i charakterystyczną stronę opowieści Rudnickich". Wyzbywszy się zaś fałszywej skromności, muszę wyjaśnić, iż cechą *Dziwu*, którą krytyk uważa za naszą zasługę, jest konkretywizm opisu „dość pracowicie ugruntowany". Stwierdzenie to sprawiło mi prawdziwą przyjemność, gdyż istotnie głównym dążeniem naszym przy opracowywaniu *Dziwu* było „nawiązanie literatury do wyników naukowych badań prehistorycznych, odsłaniających w starożytności rodzime źródliska słowiańskiej kultury na ziemiach Polski". Albowiem, głęboko przejęty znaczeniem odkryć biskupińskich, śp. mąż mój pragnął przede wszystkim dać wcielenie swemu przekonaniu, że czas już skończyć w literaturze z hieratycznymi postaciami w powłóczystych szatach na codzień, nadając natomiast naszym pradziadom ich wierniejsze oblicze, które nam ukazują coraz wyraźniej uczeni badacze zamierzchłych dziejów.

Troskę o realizm, o zgodność z danymi naukowymi, posunęliśmy nawet, jak słusznie zauważył p. H. Michalski, do pewnego rygoryzmu — tak że stała się ona poniekąd krępującym fantazję wędzidłem. I dlatego — wynikiem jakiegoś nieporozumienia wydaje mi się zarzut krytyka, że z początkiem, który jest normalnym opisem realistycznym, niemiło kontrastuje „nieumotywowane artystycznie rozprowadzenie wątku w typie prymitywno-balladowym, oraz zakończenie, jakby wyjęte z owych romantycznych powiastek o dawnych czasach". A myśmy sądzili, że właśnie zakończenie jest czymś zupełnie nowym i „nieromantycznym"! Stary Leszcz zapada w letarg i budzi się na stosie obrzędowym, kiedy go zaczyna przypiekać ogień. Trudno chyba o bardziej realistyczne rozwiązanie. Jeden z krytyków — czytelnik domyśla się, że kobieta — zrobił nam nawet z tego tytułu zarzut. „Nie zgadzam się tylko — pisze — na makabryczne potraktowanie samego „Dziwu", jest nim bowiem człowiek obudzony z letargu, żywcem palony. Uważam, że autorowie mogliby znaleźć właściwszą dla opowiadania „pointę" w wierzeniach tego ludu i jego zabobonie" (*Depesza*, 14. I. 1937). No, mogliśmy oczywiście, aleśmy tego właśnie nie chcieli. Woleliśmy wykorzystać zabobon i nieświadomość ludu, by uczynić z letargu „dziw", by wykazać poglądowo, jak w rzeczywistości „dziwy" powstają. I mam wrażenie, że p. H. Michalski tej naszej intencji nie dostrzegł.

Co zaś się tyczy rozprowadzenia wątku w stylu „prymitywno-balladowym" — nie będę się go wypierała. Pewien patos (w pierwotnym, właściwym znaczeniu wyrazu) jest, sądzę, na miejscu tam, gdzie zachodzi narastanie elementu uczuciowego w zależności od rozwoju akcji. Podzielam najzupełniej zdanie, teoretycznie ugruntowane już przez Wiktora Hugo, że w życiu rzeczy codzienne, bodaj komiczne, sąsiadują z wydarzeniami tragicznymi; dlatego też jestem zasadniczo przeciwną nadawaniu utworom od pierwszego słowa t. zw. „nastroju" lub odwrotnie: niezłomnego tonu *matter of fact*. Gdy innym tonem opowiadamy, jak to stary Leszcz jadł kaszę jaglaną „suto żyrem kraszoną", a innym znowuż jak go palą (niech będzie „żywcem"!) na stosie — czyż jest w tym istotnie rażący kontrast?

A teraz to co najważniejsze. „Przeszłość — pisze p. H. Michalski — została przedstawiona (w *Dziwie*) na skromnym odcinku jednej rodziny. Lecz i tu, gdzie nadarzała się okazja odmalowania pięknej obrzędowości Prasłowian, odmalowania choćby częściowo z uzupełnieniem hipotetycznym na podstawie materiałów dotyczących Słowian późniejszych — nie wszystko zostało wykorzystane". W tym miejscu p. H. Michalski wspomina o sugestywnych obrazach, jakie nakreśliła na tle obrzędowości Zofia Kossak-Szczucka w I tomie *Krzyżowców*, i mówi jeszcze, że „brak w *Dziwie* zajęcia się społecznością, do której przecież istnieje sporo materiału naukowego, a w związku z czym dałoby się podkreślić wiele stron wysokiej kultury duchowej i materialnej Prasłowian (ubogo np. wygląda sprawa wierzeń i obrzędów religijnych)".

Już samo zestawienie *Dziwu* — niedużej opowieści, sięgającej w czasy przedhistoryczne, z parutomowym dziełem opisującym okres, dla którego posiadamy obfite materiały naukowe — wydaje mi się niefortunne. Pomijając fakt, że *Dziw* jest tylko szkicem do dużej powieści, obecnie przeze mnie opracowywanej, że liczy zaledwie 20 stron, co z góry wyklucza możliwość „szerszego wytyczenia linii" w dziedzinie obrzędowości i społeczności — muszę zaoponować przeciw zaleconemu przez p. H. Michalskiego odmalowywaniu rzeczy „z uzupełnieniem hipotetycznym", na podstawie materiałów, dotyczących Słowian późniejszych. A niechże nas Pan Bóg broni od takich procederów, skoro się już wstąpiło na drogę konkretywizmu, skądinąd właśnie cenionego przez p. H. Michalskiego! Przecież konkretywizm, który, proszę mi wierzyć, jest nie lada orzechem do zgryzienia, obowiązuje, *odkrycia biskupińskie obowiązują do ścisłości*. Czyż wolno autorowi wkraść się w zaufanie czytelnika za pomocą owego konkretywizmu, a potem bałamucić go do woli, przemycając wszelakie „uzupełnienia hipotetyczne"? Nie, lepiej już, słowo daję, wcale nie wykraczać poza sferę powiastek romantycznych.

Zapożyczyć coś niecoś z pięknej obrzędowości Słowian IX — X stulecia i przenieść do siódmego wieku przed Chrystusem, to niby rzecz prosta. A jakże ponętna! Hokus — pokus: gotowe. I na kredyt autorowi zapisało się szereg ładnych obrazków obyczajowych. Ale uczony badacz prehistorii chwyta autora-„konkretywistę" za rękę, wołając rozpaczliwie: „Stój, mój panie"! Nie ma bowiem gorszej trucizny (zwłaszcza gdy chodzi o lekturę poleconą młodzieży) od retrospektywnych rekonstrukcji literata, dla którego dwa okresy na wzajemnej odległości $1\frac{1}{2}$ tysiąclecia to „jeden diabeł".

Czy nie wystarcza, że czytelnik pozna z naszej niedużej opowiastki bardzo prawdopodobny obraz życia codziennego Prasłowian, oparty na ścisłych danych dostarczonych przez wykopaliska biskupińskie, czy nie dość, że zapamięta, iż w okresie kultury łużyckiej przyjęty był obrządek ciałopalny, więc przyjeżdżając do Biskupina nie będzie się już upominał o groby szkieletowe mieszkańców osady? Czyż istotnie trzeba było jeszcze zaprószać mu głowę różnymi Świętowitami i innymi tworami późniejszymi, czy wreszcie nadanie wierzeniom religijnym w *Dziwie* zabarwienia monoteistycznego (zgodnie z naszym poglądem na ówczesny stan rzeczy) przynosi ujmę kulturze duchowej Prasłowian? Zapewne autor, który by chciał operować samymi konkretami, wyrzekałby się *eo ipso* wszelkiej swobody ruchu. Ale skoro już wstąpił na drogę konkretywizmu, winien, moim zdaniem, poruszać się w zakresie hipotez naukowych, nie zaś tworzyć pod płaszczykiem fantazji swoje dyletanckie hipotezy retrospektywne.

Natomiast przyjmuję jako zupełnie słuszne zastrzeżenia p. Hieronima Michalskiego w kwestii języka *Dziwu*. Dowodem faktu, że doszłam niezależną drogą do analogicznych wniosków, jest całkowite oparcie nowej mej pracy pt. *Malerza raweńskiego owieczek dwanadzieście* na najdawniejszych zabytkach języka polskiego. No, ale akcja tej opowieści toczy się w w. XV. Może zadanie, jakieśmy sobie postawili w *Dziwie* pod względem językowym, było zbyt trudne. Nie tylko dla nas — dla kogokolwiek. Może należało je uprościć. Lecz wtedy *Dziw* nie byłby tym czym jest, nie ukazywałby „zaniechanej, niestety, żyły kruszcu". Byłby gładką opowiastką z utartym typem konwencjonalnej archaizacji i nie otwierałby, jak się wyraził p. H. Michalski, „drogi ku utwierdzeniu rodzimej naszej — starożytności sięgającej — kultury". Teraz, gdy droga została otwarta, zapewne ktoś pójdzie po niej pewniejszym krokiem. Kto inny, lub ja sama — bo *Dziw* był debiutem literackim nie tylko Biskupina, lecz także autorów opowieści.

MARIA RUDNICKA

MARIA DĄBROWSKA

RYCERSKIEMU PRZECIWNIKOWI

1

W pracy, mającej niebawem ukazać się w druku, a poświęconej refleksjom nad polemiką z *Rozdrożem*, nazwałam p. Starowieyską-Morstinową rycerskim przeciwnikiem, dlatego po prostu, że nie starała się ona mnie, jak inni, lżyć i zniesławiać [1]. To pozwala mi z nią jedną (poza p. Ksawerym Pruszyńskim, którego artykuł o *Rozdrożu* z innych powodów wymagał osobnej odpowiedzi) rozmawiać imiennie i osobiście.

Dwu pierwszych zarzutów p. Starowieyskiej-Morstinowej, pomawiających mnie o nieuprawnione składanie odpowiedzialności za naszą przeszłość na „tłum" szlachecki i o fałszowanie perspektyw historycznych — tutaj nie dotykam. Są to bowiem zarzuty powtarzane i przez innych moich oponentów, a rozpatrzone już przeze mnie obszernie w pracy na wstępie tu wspomnianej. Przeto nie będę zajmować tą sprawą miejsca na łamach pisma, z którego gościny korzystam.

W tejże pracy poruszam wyczerpująco następną kwestię, nad którą zastanawia się p. Starowieyska-Morstinowa, mianowicie jaki jest cel czy powód napisania *Rozdroża*. Ponieważ jednak ta część wywodów p. Starowieyskiej posiada pewien aspekt indywidualny, pozwolę sobie chwilę się nad nią zatrzymać.

P. Starowieyska-Morstinowa rozważa, jaki może być cel *Rozdroża*, skoro wypowiada się ono za „przechodzeniem własności większej w chłopskie ręce", a „ten proces jest w pełnym toku". Szkoda, że p. Starowieyska nie dodała tu jeszcze, że np. „stosunek ziemiaństwa do tego będącego w pełnym toku procesu jest jak najżyczliwszy, że nikt przecież reformy rolnej nie zwalcza, nikt nie dowodzi, że po jej przeprowadzeniu Polska upadnie pod względem rolniczym i obronności państwa" itp. Wtedy mogłaby od razu powiedzieć, że *Rozdroże* jest książką bezprzedmiotową i oszczędziłaby sobie trudu formułowania jego celów tyleż z całą lojalnością, ile kunsztownie i nieściśle.

Żart na stronę. P. Starowieyska wie bez wątpienia, że dzieje się właśnie na odwrót. Że reforma rolna i parcelacja są zwalczane, a przechodzenie części tylko wielkiej własności w ręce chłopskie przedstawiane jest jako klęska dla Polski. Zapomniała tylko, że *Rozdroże* jest właśnie polemiką z takim stanowiskiem i odpowiedzią na tego rodzaju kampanię. Stąd cel tej książki — i znacznie skromniejszy i razem donioślejszy, a także cokolwiek może rozumniejszy niż te cele, które jej p. Starowieyska wyznacza. Skromniejszy, gdyż idzie tu głównie o wykazanie wartości argumentów przeciw reformie rolnej wymierzanych. Donioślejszy, gdyż w kampanii, na którą *Rozdroże* jest odpowiedzią, widzę — słusznie czy niesłusznie — symptomy tej postawy duchowej wobec spraw dobra narodowego, a nawet w ogóle wobec życia i świata, która Polskę raz już zgubiła i na przyszłość nic dobrego jej przynieść nie może. Cokolwiek zaś rozumniejszym nazywam ten cel, gdyż nie da się on wyrazić w uproszczonych i zdziecinnionych tezach, jakie mi p. Starowieyska narzuca. Powiada ona bowiem, że celem *Rozdroża* jest wystąpienie „przeciwko przechodzeniu ziemi w ręce chłopów bogatych", a za oddawaniem jej „chłopom najbiedniejszym", w stosunku zaś do ziemian celem tym jest apel, żeby nie tylko do „szybszej i bardziej bezinteresownej reformy rolnej przychylnie się ustosunkowali", lecz aby „zdobyli się na gest wielkoduszny i ziemię swą tym właśnie najbiedniejszym chłopom oddali dobrowolnie". Za ten „gest wielkoduszny" i „stratę materialną" mam w *Rozdrożu* obiecywać ziemianom dobra moralne: tężyznę duchową, szlachetność, poważanie itd.".

Jak dalece takie ujęcie rzeczy moją książkę spłyciło i zwęziło, sprowadzając ją do roli sklepiku, ofiarującego jednym ziemię, drugim nagrody moralne, nie będę tego tłumaczyć, gdyż zajmuję się tym gdzie indziej. Poprzestanę więc tylko na wyjaśnieniu, że o rzeczach, które p. Starowieyska-Morstinowa wysnuła z *Rozdroża* jako jego cel, jest istotnie w mej książce mowa. Podobieństwo jednak tego, co ja mówię, do tego, co mi przypisuje moja sz. oponentka, jest dość małe i sprawy te domagają się wnikliwszego rozróżnienia.

Pomijając mój stosunek do chłopów biednych czy bogatych, który tu nie ma nic do rzeczy, ja nie występuję w *Rozdrożu* przeciwko przechodzeniu ziemi „w ręce chłopów bogatych", tylko na alarmy ziemian, że tworzy się u nas wyłącznie gospodarstwa karłowate, stwierdzam na podstawie cyfr i przykładów (str. 116 i nast.), że tworzy się u nas i to w niemałej liczbie także gospodarstwa bardzo duże. Przy tej sposobności, cytując opinie ludności oglądanych przeze mnie terenów o takiej parcelacji, wypowiadam zastrzeżenia (a nie sprzeciwy) co do tworzenia b. wielkich gospodarstw. Mam przy tym na względzie interesy czysto rolnicze, mianowicie „konieczność przejścia Polski na jak najintensywniejsze kultury rolne" (str. 116). Co więcej, na str. 122 staję nawet poniekąd w obronie większych gospodarstw chłopskich. Twierdzę natomiast, że na nich poprzestać nie można, zarówno ze względów gospodarczych, jak społecznych i ludnościowych. A broniąc racji bytu oraz możliwości rozwoju gospodarstw mniejszych i małych, przeciwstawiam się jedynie apodyktycznej tezie, że one zawsze i wszędzie i w każdych warunkach muszą być skazane na wegetację i nędzę. Te moje twierdzenia mogą być mylne lub słuszne, w każdym jednak wypadku są czym innym niż sprymitywizowana wersja p. Starowieyskiej-Morstinowej o celu *Rozdroża*. Co zaś do „wielkodusznych gestów", to „gesty" wszelakie są ostatnią rzeczą, jakiej bym się od kogokolwiek domagać mogła. A co do moich rzekomych „ofert moralnych" dla ziemian, to ja żadnych „dóbr moralnych" nikomu za nic nie obiecuję. Kto ich w sobie poczuć nie jest zdolny, ten ich od nikogo z zewnątrz nie kupi i nie dostanie.

2

W dalszym ciągu swojego artykułu pomawia mnie pani Starowieyska o doktrynerstwo. Mam jednak wrażenie, że nie zastanowiła się przy tym nad znaczeniem słów: doktryna, doktryner, doktrynerstwo. Zdaje mi się bowiem, że doktryner, to człowiek, co jednej wyrozumowanej zasadzie (czy systemowi zasad) podporządkowuje życie konkretne, tą zasadą tłumaczy wszystkie jego przejawy i jej miernikiem je mierzy. Tymczasem za dowód mojego doktrynerstwa pani Starowieyska podaje „naiwne przeplatanie wywodów czysto ekonomicznych argumentami uczuciowymi i ideowymi". Znaczy tedy, że ja się posługuję argumentami wziętymi z różnych systemów wartości, więc to może nie doktrynerstwo, a właśnie brak jakiejkolwiek normującej doktryny chciała mi tu pani zarzucić? Zwłaszcza że nie tylko samo „przeplatanie" się argumentów różnego pochodzenia, lecz i żadna z tych rzeczy, które się u mnie „przeplatają", nie pokrywa się z pojęciem doktrynerstwa. Nie jest przecież doktrynerstwem ani „posługiwanie się wywodami czysto ekonomicznymi", ani uczuciowy, ani tym bardziej ideowy stosunek do zagadnień swego narodu.

Doktrynerstwem natomiast byłoby wysnucie *Rozdroża* z jakiejś jednej ściśle określonej teorii społecznej czy ekonomicznej i ślepe trzymanie się tej teorii z naginaniem do niej wszystkich różnobarwnych faktów życia. Tymczasem w oczy bije przecież fakt, łatwy do sprawdzenia, że ja całe *Rozdroże* oparłam jedynie na konkretnych przejawach życia, wziętych bądź z przeszłości, bądź z naszej lub zagranicznej teraźniejszości. Mój stosunek do jakichkolwiek doktryn czy teorii społecznych lub ekonomicznych jest w tej książce raczej eklektyczny. I jeśli uwzględniam którą z nich ubocznie czy pośrednio, to jedynie przymierzając, czy to pasuje do naszej konkretnej rzeczywistości. Co więcej, nawet mówiąc z szacunkiem o programie Stronnictwa Ludowego, podkreślam właśnie jako jego zaletę, że „daleki jest od wszelkiego dogmatyzmu, obcy jakiejkolwiek doktrynie" (str. 202).

Nie znaczy to, aby znajomość tych lub innych doktryn czy teorii nie pozostawiła żadnych śladów w mojej umysłowości, tak jak pozostawiać je musi, a nawet powinna w umysłowości każdego jako tako ukształconego człowieka. Tak np. jeśli nie są dla mnie czczym słowem pojęcia zadośćuczynienia (ekspiacji), to można by to uważać za wpływ doktryny katolickiej. Tutaj dodam nawiasem, że i to, co piszę w *Rozdrożu* o ekspiacji, także jest źle rozumiane i przez p. Starowieyską i przez innych moich oponentów. Ja wcale nie pragnę potrzebą ekspiacji usprawiedliwić konieczności reformy rolnej, a i mój „proces historyczny, wytoczony (w interpretacji p. S.-M.) ziemiaństwu", ma zgoła odmienne umotywowanie, wyjaśnione przeze mnie na innym miejscu. O ekspiacji zaś mówię w tym znaczeniu, że ideą spełnionych zadośćuczynień — w powstaniach, konfiskatach i ofiarach z dóbr — nie można się zasłaniać i wykręcać od konieczności przeobrażeń w naszym ustroju rolnym, skoro ekspiacje owe były tego rodzaju, że nie mogły bolączek społeczno-gospodarczych uleczyć.

Wracając do tematu i żeby go wyczerpać — może p. Starowieyska-Morstinowa zarzuca mi swego rodzaju doktrynerstwo bez doktryny? Może ja np. upieram się przy reformie rolnej i przejściu na drobną własność, bo mi się tak podoba, pedancko i na przekór wszelkiej oczywistości? Może my mamy np. znikomą liczbę chłopów i nie mamy kogo osiedlać, a wszystkie cyfry i fakty życiowe zostały w *Rozdrożu* skłamane, tylko dlatego, żeby doktrynersko upierać się przy reformie rolnej? Czy może na odwrót, ja potrzebę reformy rolnej wyprowadzam z naglących wymagań życia, a w takim razie słówko „doktrynerstwo" zostało rzucone, ot, tak sobie, bo ma ono to do siebie, że z góry dyskredytuje przeciwnika? Czy jeszcze inaczej mam to sobie tłumaczyć?

3

Dajmy więc pokój nieudowodnionemu zarzutowi doktrynerstwa i pozostańmy przy mających niejakie pozory rzeczowości zarzutach „naiwności oraz idealizmu" *Rozdroża* i przy faktach, które p. Starowieyska jako świadectwo owej naiwności i tego idealizmu przytacza.

Naiwne i „nie wyglądające poważnie" jest więc moje „powoływanie się na Hamsuna, *jako na dowód, że i bez kapitału można ziemię dobrze zagospodarować*" i moje „odwoływanie się do uczuć obywatelskich armii *na wypadek, gdyby aprowizacja wojska przez chłopów była gorsza niż przez wielką własność*".

W przytoczeniu obu tych świadectw mojej naiwności p. Starowieyska-Morstinowa nie ustrzegła się, mimowolnego niewątpliwie, ale niemniej dotkliwego przeinaczenia mojego tekstu, popełniając nadto inne pomyłki, którymi zajmiemy się kolejno.

Więc pierwsza cytata p. St.-M. Otóż w całym *Rozdrożu* nie ma takiego zdania, „że i bez kapitału można ziemię dobrze zagospodarować", ani takiego, z którego by ten wniosek można wysnuć. Użycie takiego zwrotu byłoby z mojej strony rzeczywiście grubą i obskurancką naiwnością. Ja jednak mówię zupełnie co innego, a mianowicie (na str. 117—118), że w ubogich i żądnych pracy nabywcach „*tkwią zasoby twórcze cenniejsze od pieniędzy*" i że należy te zasoby *brać w rachubę*. Chcę przez to podkreślić, że z dwu czynników produkcji: kapitału i pracy, praca—lub szerzej biorąc—człowiek zdaje mi się niedocenianym, a ważniejszym. Gdyż będąc jednym z czynników produkcji, jest on zarazem twórcą, pomnożycielem i przysporzycielem wartości wszystkich postaci drugiego czynnika, tj. kapitału. Przy tym p. Starowieyska-Morstinowa jakby zapomniała, że ziemia to też kapitał, a chłop i ziemia to już dwa podstawowe czynniki tworzenia dóbr, zwłaszcza kiedy weźmiemy pod uwagę ten szczególnie płodny stosunek upartej woli, wytrwałości i miłości, w jakim chłop do ziemi pozostaje. Zważmy zaś i to, że w kraju, gdzie jak u nas, kapitału pieniężnego jest mało, a pracy, szukającej zastosowania — bardzo dużo, praca ta i może i musi pewne inne postacie kapitału nakładowego zastępować, a w końcu i te pewne inne postacie kapitału, mówiąc obrazowo, przyciągać. Wyrażenia „dochrapałem się tego gołymi rękoma", „zaczynałem z dziesięcioma palcami" i tym podobne, a tak bardzo rozpowszechnione zwroty odpowiadają przecież jakiejś prawdzie życia. Tyle o nieścisłości cytaty i niezrozumieniu mojej intencji. Teraz o naiwności mojego powołania się na Hamsuna.

Powoływanie się na powieściopisarzy jest nawet w dziełach ściśle naukowych zjawiskiem o wiele częstszym niż to sobie p. Starowieyska-Morstinowa wyobraża. Jest zatem co najmniej uprawnione w książce publicystycznej.

Nie mówiąc o psychologach, którzy nieraz przykłady z dzieł literatury czerpią, także i u ekonomistów, nawet zwłaszcza u ekonomistów i socjologów spotkać się można z powoływaniem się na Balzaca, Szekspira i innych pisarzy artystów. Co więcej niejeden fakt ekonomiczny lub socjalny z zamierzchłych czasów bywa nam znany tylko, albo głównie z pomników starej literatury. Nie mogę tu mnożyć przykładów, podam więc tylko jeden, dotyczący powoływania się współczesnego ekonomisty na pisarzy artystów. Przeglądając swego czasu olbrzymie dzieło prof. Tennenbauma: *Struktura gospodarstwa polskiego*, w rozdziale: „Postawa nabywcza, postawa rezerwy i postawa wiązana: „człowiek" i „człowiek ekonomiczny" (t. I str. 260) znalazłam ku mojemu zdumieniu i pomieszaniu aż sześć wierszy, powołujących się ni mniej ni więcej tylko na powieść Marii Dąbrowskiej *Noce i Dnie*, mianowicie — na scenę kupowania placów przez Bogumiła i Barbarę Niechciców. W innych rozdziałach tejże pracy prof. Tennenbaum powołuje się na „Trylogię" Sienkiewicza, na *Prometeusza skowanego* Ajschylosa, cytuje nie naukowe, ale raczej artystyczno-publicystyczne dialogi Ferrera, ba, nawet malownicze rozmowy prywatne. Bo w nauce o sprawach człowieka dokumentem jest wszystko, co człowieka dotyczy — zatem i dzieło sztuki.

Teraz druga cytata p. Starowieyskiej-Morstinowej. Przeinacza ona tekst *Rozdroża* niemniej gruntownie jak poprzednia. Gdyż ja nigdzie nie „odwołuję się do uczuć obywatelskich armii *na wypadek, gdyby aprowizacja wojska przez chłopów była gorsza niż przez wielką własność*". Mówię natomiast, że „*jeśli dobro, a nawet byt narodu i państwa* żądają oparcia gospodarki rolnej o drobną własność, to armia, ta — jak się ciągle podkreśla — najlepiej obywatelsko wychowana część społeczeństwa, niewątpliwie dostosuje swoje *metody* aprowizacyjne do tych wymagań dobra narodowego". Mówię zatem wyraźnie o dostosowaniu *metod*, a nie *potrzeb* aprowizacyjnych. Wymaganie dostosowania *potrzeb* armii do *gorszej* aprowizacji byłoby oczywiście naiwnością. Natomiast o dostosowaniu *metod* aprowizacyjnych „do stopniowego przeobrażania się polskiego ustroju rolnego" (str. 169) mówić można i trzeba, i niewątpliwie sprawy te są przez naszą armię bez żadnej naiwności poważnie rozpatrywane (czego dowodem choćby cytowany przeze mnie w *Rozdrożu* odczyt pułk. Dżugaya). Zwracam też uwagę p. Starowieyskiej-Morstinowej, że *ja nigdzie nie mówię o dostosowaniu tych metod do gorszej aprowizacji*, dla tej prostej przyczyny, że słusznie czy niesłusznie, przewiduję, że ta chłopska aprowizacja nie będzie i nie powinna być gorsza. Jest więc u mnie mowa jedynie o dostosowaniu metod aprowizacyjnych nie do gorszego lecz do innego typu dostawców, mianowicie do typu dostawców drobnych, zrzeszonych w kooperatywy zbytu.

4

Jedną z cech mojego — rzekomego, jak to starałam się udowodnić — doktrynerstwa jest, według p. Starowieyskiej-Morstinowej, moja idealizacja chłopa. „Masa chłopska — powiada p. St.-M. — w przeciwieństwie do masy ziemiańskiej ukazuje nam się (w *Rozdrożu*) jako masa idealna, nastawiona obywatelsko, gotowa do wszelkich ofiar, obojętna na to, czy, kiedy i jak ziemię z reformy rolnej dostanie. *W mniemaniu Dąbrowskiej chłop nie upomina się o reformę rolną i nie uzależnia od niej swego stosunku do państwa. Jak bardzo takie twierdzenie jest sprzeczne z rzeczywistością, dowodzić nie potrzeba*". Podkreślam te słowa p. Starowieyskiej, ponieważ tkwi w nich dość zabawna pomyłka. To nie ja, to właśnie ideowi przyjaciele p. Starowieyskiej-Morstinowej, a przeciwnicy *Rozdroża* twierdzą stale, „że chłop nie upomina się o reformę rolną i nie od niej uzależnia swój stosunek do państwa". Między innymi ostatnio dowodził tego namiętnie p. Ksawery Pruszyński, a ja starałam się mu właśnie dowieść, że to nie jest tak całkiem zgodne z rzeczywistością. Tymczasem ze słów p. Starowieyskiej-Morstinowej okazuje się, że „tego nawet dowodzić nie potrzeba". Mniejsza o to. Podobnych sprzeczności pełno jest w argumentacjach przeciwników *Rozdroża*. Idzie o rzecz ważniejszą. O to mianowicie, że p. Starowieyska i w tym punkcie leciutko przeinaczyła mój tekst, a jest on zbyt precyzyjny, aby najlżejsza nawet modyfikacja nie mogła go wypaczyć. Przeinaczenie polega na pominięciu czy przemilczeniu, że str. 145 — 147, z których wysnute są przytoczone tu „moje" mniemania, zostały napisane w „trybie warunkowym", a ich treść ma charakter jedynie domniemań i przypuszczeń. Mówię tam wyraźnie i lojalnie, że *Pamiętniki chłopów* o reformie rolnej prawie nie wspominają i dodaję, że „jednak z tego faktu nie poważyłabym się wyciągać żadnych pochopnych ni ostatecznych wniosków" (tzn. — nie poważyłabym się wyciągać wniosków, że chłop nie chce reformy rolnej, czyli — zastrzegam się tu właśnie przeciw „mniemaniu", które mi p. St.-M. przypisuje). „Co najwyżej więc — powiadam dalej — *można by* postawić kilka przypuszczeń *z zastrzeżeniem, że do nieomylności żadnej pretensji rościć one sobie nie mogą*". Otóż jednym z tych przypuszczeń jest właśnie to, które wydało się p. Starowieyskiej-Morstinowej taką stronną idealizacją chłopa. Brzmi ono jednak też

[1] Por. art. p. Starowieyskiej-Morstinowej p. t. „Rozdroże" (*Pion* Nr. 21/190 z r. 1937).

dosyć warunkowo i wyraża się w słowach: „To (abstynencja pamiętnikarzy w wypowiadaniu się na temat reformy rolnej) *świadczyć może* również o tym, że chłop ma w porównaniu do ziemian znacznie bardziej ludzki, czy jeśli kto chce, bardziej chrześcijański stosunek do tych rzeczy. Że rozporządza daleko większymi możliwościami tworzenia nowej kultury wsi pod względem nie tylko społecznym i gospodarczym, ale i moralnym. O ile bowiem ziemianie całą przyszłość wsi chcą gwałtem uzależnić od tego, czy ich folwarki będą zmniejszone, czy pozostaną nietknięte, o tyle chłop gotów jest (w drugim wydaniu *Rozdroża* „zdaje się być gotów“) przyszłość tę budować bez względu na to, jak się te sprawy obrócą“. Wypowiedziawszy wśród szeregu innych, bardziej obiektywnych, to tak korzystne dla chłopa domniemanie o przyczynach jego milczenia w *Pamiętnikach* na temat reformy rolnej, podkreślam jeszcze raz (str. 146—147), że uważam to wszystko za przypuszczenia, „które są może jednak stosowniejsze *niż sąd bezwarunkowy* (przeciwników *Rozdroża*), *że chłop reformy rolnej nie chce i nie potrzebuje*“.

Tyle o trzecim przeinaczeniu mojego tekstu. A teraz o idealizacji. Czy rzeczywiście w przytoczonym tutaj urywku zawiera się tak wielka idealizacja chłopa? Czy przypuszczać, że chłop może dziś rozporządzać większymi możliwościami tworzenia kultury wsi niż ziemiaństwo, to aż takie niezwykłe idealizowanie? Czy może tylko zdrowe poczucie rzeczywistości i uprawniona wiara w przyszłość narodu polskiego? A przypuszczać, że chłop gotów jest budować swą przyszłość bez względu na to, jak się sprawy reformy rolnej ułożą, czy to idealizacja, czy może tylko znajomość chłopa, jego życia i naszych dziejów? Bo jakkolwiek tę właściwość nazwiemy — zaletą, wadą czy po prostu cechą charakterystyczną — chłop składał jej wielokrotne dowody, skoro sam nigdy praw nie stanowiąc, ani całością gruntów Polski nie dysponując, pod każdym prawem i przy każdych stosunkach własności przedzierał się wcale obronną ręką przez najsroższe trudności życia.

5

Pani Starowieyska-Morstinowa za jedną tylko rzecz chwali mnie bez zastrzeżeń, mianowicie za to, że „pracę swą publicystyczną od literackiej oddzieliłam“. Ale i tej pochwały nie trzyma się konsekwentnie. Podoba jej się to, że ja do *Nocy i Dni* „nie wpakowałam przekonań, pouczeń i agitacji społecznej“. Natomiast nie podoba jej się to, że ja w *Rozdrożu* „kąt patrzenia artystyczny i filozoficzny (?) usunęłam“, co — jak mówi — „nie wyszło książce na dobre“. Więc jakże to? Złą byłaby powieść naładowana publicystyką, ale dobrą — publicystyka, naładowana powieścią? Coś tutaj się nie klei. P. Starowieyska usiłuje tę sprzeczność pogodzić, mówiąc, że „oczywiście „prawda“, którą ma nam objawić artysta, jest nieco inna, niż ta, której żądamy od publicysty, ale nie taka znów inna, jakby się zdawać mogło“. Dajmy na to. Nie spierajmy się z p. Starowieyską o definicje i o kryteria tych rozróżnień. Idźmy za jej myślą.

Owa niezupełna inność tych dwu rodzajów twórczości polega według p. St.-M. na tym, że i w jednym i w drugim u dna powinien tkwić człowiek i jego zrozumienie. „Bo nie ma — powiada ona — spraw ani problemów oderwanych, są tylko sprawy i problemy ludzkie, a gdzie nie widzimy człowieka, problemy stają się nierealne i zawieszone w próżni“. „A właśnie — dodaje — tak jest w *Rozdrożu*“. Ale czy tak jest rzeczywiście? Czy p. Starowieyska-Morstinowa mogłaby z ręką na sercu i z sumiennie czytanym egzemplarzem *Rozdroża* w drugiej ręce, nie zająknąwszy się powtórzyć, że w tej książce nie ma człowieka, a są tylko zawieszone w próżni i oderwane problemy? I że ja widzę tylko „dwa bloki — blok szlachty i blok chłopów, bloki podobne raczej do symboli, a jeszcze bardziej do politycznych czy społecznych haseł“? Zapisano jednak niezmierną ilość papieru o tej książce, pozbawionej cech ludzkich i wypełnionej zawieszonymi w próżni abstrakcjami. Więc może jednak rzeczy mają się zgoła inaczej? Może nie z martwymi symbolami i czczymi hasłami mamy w *Rozdrożu* do czynienia, skoro ta książka nie utonęła od razu w znudzonej niepamięci i nie stała się jedynie przedmiotem zainteresowania badaczy pojęć oderwanych? Może na odwrót mamy w niej do czynienia z pulsowaniem najprawdziwszego życia? I może ja, posługując się w niej pewnymi uogólnieniami, do czego gdzie jak gdzie, ale w pracy publicystycznej byłam nie tylko uprawniona, lecz i obowiązana, nie tracę jednak ani na chwilę z oczu faktów konkretnej rzeczywistości? Może je na poparcie moich uogólnień w każdym rozdziale, a nawet bez mała na każdej stronicy przytaczam? Może nawet nie waham się rozpatrywać faktów, które moim „uogólnieniom“ przeczą i może w każdym takim wypadku opatruję sąd nieco bardziej ogólny wszystkimi potrzebnymi zastrzeżeniami? Gdyby tak jeszcze raz, jeśli łaska, w *Rozdrożu* wszystko to sprawdzić? Bo przecież tutaj nie możemy go w całości niemal przepisywać.

6

W konsekwencji martwoty i abstrakcyjności *Rozdroża* p. Starowieyska-Morstinowa przypisuje mi „stronniczość i jednostronność ujęcia grup obu (bloku ziemian i bloku chłopów), symplifikowanie stosunków politycznych a nawet społecznych“, „operowanie dawno przezwyciężonymi kategoriami, dostrzegającymi jedno tylko przeciwstawienie: chłop — dziedzic“, nie dostrzegającymi natomiast zróżnicowania ziemian i chłopów na rozmaite grupy, niezależnie od kwestii wielkiego czy drobnego posiadania, lecz od poglądów politycznych, społecznych i religijnych.

Przedmiotem *Rozdroża* nie jest jednak przeciwstawienie: chłop — dziedzic, lecz przeciwstawienie: postawa duchowa ziemiaństwa — dobro i przyszłość Polski. Tu jest właśnie to moje największe uogólnienie, że ja mówię o jakiejś jednej postawie ziemiaństwa i o Polsce. Ale Polska to nie jest pojęcie oderwane bez żadnego ekwiwalentu rzeczywistości, a ta postawa duchowa ziemiaństwa, z którą ja się w *Rozdrożu* wadzę, nie jest znowu takim jednym poszczególnym znamieniem drobnej grupki, zbyt ryczałtowo przeze mnie uogólnionej. Przeciwnie, wystąpienie ostatnimi czasy tej postawy na widownię ma charakter powszechności, zjawiska w danej sferze ogólnego i nie słychać wcale, aby poszczególne grupy ziemian różniły się ze sobą w poglądach na reformę rolną. A że „wzmiankowana“ postawa duchowa zamanifestowała się tak dobitnie i jednomyślnie właśnie w tej tylko sprawie, że ja na tę sprawę akurat w *Rozdrożu* odpowiadam i że reforma rolna dotyczy chłopów, a jej zwalczanie dotyczy ziemian, więc siłą rzeczy mówię o chłopach i ziemianach. I ta sama „siła rzeczy“ upoważniła mnie w tej właśnie kwestii do mówienia o nich w pewien ogólny sposób. Nie znaczy to wcale, abym innych aspektów i zazębień się życia wiejskiego nie dostrzegała. Ale i to mniejsza. I niech sobie wszystko to będzie. Niech p. Starowieyska-Morstinowa myśli, że ja jestem stronnicza, ciasna i tępa, że „nie dostrzegam różnorodności i komplikacji zjawisk życia“, a nawet, że mam typowo „partyjną mentalność“. Zgadzam się również na to, że przeciwstawienie chłop — dziedzic straciło w znacznej części swoją aktualność polityczną, społeczną, nawet obyczajową i kulturalną. Czy jednak straciło swoją aktualność gospodarczą? Otóż okazuje się, że nie. Że przeciwstawienie, może nie tyle — chłop-dziedzic — ile: wielki właściciel-drobny właściciel, nie jest wcale fikcją mentalnych czy faktycznych partyjników. Mówi o tych rzeczach dr Wacław Ponikowski w dziele: *Gospodarstwa włościańskie i folwarczne* (Biblioteka Puławska, Nr 46). Autor nie jest bynajmniej przeciwnikiem wielkiej własności, a w pracy swej przestrzega jak najsurowszego obiektywizmu naukowego. Mimo to stwierdza „głęboki przedział, dzielący warsztaty folwarczne i włościańskie“. Właściwe kryterium tej różnicy leży nie w rozmiarach powierzchni (choć z nich ta różnica wypływa — komentarz mój), ale w człowieku i w jego stosunku do warsztatu pracy. Są to — powiada dr Ponikowski — różnice nie ilościowe, lecz jakościowe, wiążące się „z różnymi nastawieniami psychiki ludzkiej, tj. z najistotniejszym czynnikiem wszelkich czynności gospodarczych“. W czym się wyraża ta jakościowa różnica? W tym, że wielki właściciel wkłada w swój warsztat kierownictwo (z bezpośrednim osobistym doglądem lub bez niego) i kapitał — ten właśnie w rozumieniu p. Starowieyskiej. — Zaś drobny właściciel w każdy dział gospodarstwa wkłada osobistą swą pracę. Z tej podstawowej różnicy wynika ogromny szereg innych (m. in. wielka jednostajność typu gospodarstw folwarcznych i wielka różnorodność typów gospodarstw włościańskich), których tu już oczywiście wyliczać nie będziemy. Zauważę tylko, że cyfry zebrane przez dr Ponikowskiego (a zbliżone chcąc nie chcąc do cyfr prof. Wł. Grabskiego) mówią, że wady i zalety obu systemów gospodarczych (folw. i włośc.) równoważą się z sobą. A choć autor surowo przestrzega przed jakimkolwiek uogólnianiem, ostatecznie jednak dochodzi do wniosku, że nie tylko inność jest cechą zasadniczą tych dwu systemów gospodarki, ale że jedynie stopień *przygotowania* decyduje u nas o wyższości gospodarstw folwarcznych. Ciekawe, że nie znając jeszcze wtedy książki dr Ponikowskiego, a kierując się jedynie „naiwnością“ oraz „idealizmem“ to samo mniej więcej twierdzę w *Rozdrożu*, gdy mówię, że lepsze przygotowanie organizacyjne i oświatowe postawi gospodarstwa chłopskie na równym albo wyższym poziomie niż gosp. folwarczne. Nie tylko o to jednak idzie. Inność nie oznacza jeszcze lepszości, a jeśli ją w pewnym sensie oznacza, lub spodziewać się jej pozwala, nie musi to być zaraz ta lepszość, która zapanować i kosztem innych systemów gospodarczych rozwinąć się powinna. Ale otóż rodzaj tej odmienności, którą stwierdza między gospodarstwem folwarcznym i gospodarstwem włościańskim dr Ponikowski, jest właśnie taki, że poważnie zadumać się musimy, czy przejście na drobną własność nie jest dla Polski — nawet jeśli odrzucimy te wszystkie względy, które przeciwnikom *Rozdroża* tak się nie podobają — gospodarczym *sine qua non*. Bo pomyślmy. Wielka własność stoi na inwestycjach pieniężnych, a jak dowodził mi pewien młody lecz wytrawny ekonomista — w Polsce na kilkadziesiąt lat nie zanosi się na to, by ktoś inwestował w rolnictwie, a zwłaszcza żeby było co inwestować. Drobna własność stoi na człowieku i pracy, więc na tym czynniku produkcji, którego, jak już wspomniałam, posiadamy do woli i który jedynie zapoczątkować może nowy okres pieniężnej kapitalizacji wewnętrznej. W tym oświetleniu można by powiedzieć, że przejście do panowania systemu drobnej własności jest u nas nieuchronną koniecznością gospodarczą. Takie to są różne aspekty „dawno przezwyciężonych przeciwstawień“.

7

W ostatniej części swojego artykułu p. Starowieyska wraca do sformułowanego przez nią celu *Rozdroża* i stwierdza, że moje (w jej interpretacji) domaganie się od ziemian „oddania ziemi i zejścia dobrowolnie ze stanowiska rządzącego i przodującego“ jest żądaniem „godzącym w istotę człowieka, w istotę jego egoizmu“, więc „żądaniem wyrzeczenia się i przezwyciężenia własnego ja“, czyli rzeczy niemożliwej do spełnienia. Pomijam nieścisłe i sprymitywizowane sformułowanie moich „żądań“, gdyż tym, jak się rzekło, zajmuję się osobno i gdzie indziej. Ale co do kwestii czy egoizm jest istotą człowieka, z której nic ustąpić bez wyrzeczenia się swego „ja“ nie można — miałabym tu poważne wątpliwości. Sam fakt życia naszego nie po osobności i na bezludnych wyspach, lecz w społeczeństwach innych ludzi, wymaga od nas ciągle jakichś wyrzeczeń się egoizmu i wyrzeczenia te uzyskuje. Mnóstwo też wielkich dzieł kultury i cywilizacji powstało nie z instynktów egoistycznych, lecz społecznych, jeśli już nie chcemy użyć zwrotu — z miłości bliźniego. A to dowodzi, że postawy nieegoistyczne są tak samo realną częścią naszej osobowości, jak postawy egoistyczne. I czy będziemy wierzyć, zgodnie z nauką Kościoła, że człowiek po pierwszym upadku jest zasadniczo zepsuty, a do miłości, ofiary i przezwyciężania egoizmu wznieść się może tylko z pomocą łaski Bożej; czy przyjmiemy koncepcję świecką, zakładającą możliwość dobra i altruizmu na tzw. instynkcie społecznym, zawsze będziemy mieli do czynienia nie z fikcjami, tylko z wartościami rzeczywistymi i dla osobowości człowieka istotnymi.

Pani Starowieyska-Morstinowa dopuszcza zresztą po pewnym namyśle możliwość nieegoistycznej postawy ducha ludzkiego. Ale powiada, że stawiając tak wielkie wymaganie, powinnam była dać w *Rozdrożu* jakąś „prawdę absolutną“ i „bezapelacyjną gwarancję“ tej prawdy, bez których to rzeczy nie „zdobywa się wyznawców“, „nie lepi się bohaterów“ i „nie przeobraża dusz ludzkich“.

W tym punkcie kapituluję od razu i przyznaję mojej oponentce zupełną rację. Żadnej „prawdy absolutnej“ w *Rozdrożu* do wierzenia w istocie nie podaję. Nie sądziłam też, aby do tych „przeobrażeń“, o których mówię w mej książce, potrzebna była aż fanatyczna ekstaza wyznawców porwanych prawdą absolutną. Myślałam po prostu w naiwności swojej, że zrozumienie interesu ojczyzny, dobra jej ludu i pewnych nieuniknionych konieczności życia zbiorowego wystarczy. A gdyby to nie wystarczyło, miałam prawo przypuszczać, że ziemiaństwo nasze znajduje się już w posiadaniu prawdy absolutnej, która by je w trudzie twórczego przyjęcia nowej polskiej rzeczywistości wsparła.

Ale p. Starowieyska mówi w swym zakończeniu jeszcze coś innego. Dowodzi w przeciwieństwie do innych moich oponentów, zarzucających mi fanatyzm, bezapelacyjność twierdzeń itp., że ja nawet o potrzebie reformy rolnej i o wartości dziejowej chłopa piszę bez przekonania, bez pewności, bez wiary. Na dowód przytacza m. in. moje słowa ze str. 204, gdzie mówię: „Żadnej nie mam rękojmi, jak nikt mieć jej nie może itd.“. Czyżby jednak rzecz pisana bez najgłębszego przekonania i bez czegoś z tej „siły fatalnej“, o którą p. St.-M. chodzi, mogła wzbudzić aż tak wielkie i namiętne poruszenie opinii publicznej? Książki bez silnych przeświadczeń pisane nie wywołują takiej reakcji, czy są „dobre“ czy „złe“. Więc może bije z tej skromnej książki jednak jakaś moc nowego a tym samym trudnego widzenia polskiego bytu, przeciw czemu buntuje się wszystko, co nierade wyjść z duchowego zastoju? Sama zresztą p. Starowieyska przeczy sobie, gdy książkę osądzoną jako wyraz małej wiary nazywa „patetyczną i wstrząsającą“, gdy mówi o jej „skargowskich akcentach“. To porównanie jest dla mnie zbytkiem honoru, ale skoro takie słowo już padło, to czy p. Starowieyska-Morstinowa sądzi, że na „skargowskie akcenty“ może zdobyć się letnia dusza, letniej służąca sprawie? P. St.-M. przyznaje mi zresztą i „gorące serce“, ale co mi jedną ręką daje, to mi drugą odbiera.

Co do mnie, to nie poczuwam się ani do tych akcentów, „przetaczających się jak grzmoty“, ani do tego „wstrząsającego patosu“, jaki odczuła w mojej książce p. Starowieyska. *Rozdroże* jest raczej książką cichą i pełną umiaru, choć tyle nieumiarkowanego hałasu narobiło. Patosem jego jest jedynie wymowa podanych faktów i cyfr. Ale napisałam je z żarem najgłębszej wiary, że służę jak umiem Polsce i moim rodakom, a także idei prawdziwego człowieczeństwa w Polsce. Kto za słowami tej książki nie czuje wiary, nadziei i miłości, temu trudno oczywiście udowodnić, że je posiadają. Tak jak człowiekowi, który patrząc na nuty, nie czuje i nie słyszy duchem ich melodii, trudno udowodnić, że zawierają pieśń.

Nie każda jednak wiara despotycznie się narzuca, nie każda miłość krzyczy ekstatycznymi słowami, nie każda nadzieja płodna jest za cenę przyrzeczenia gwarancyj. A ostrzeganie przed brakiem rękojmi może być nie małodusznością, lecz, na odwrót, może być odwołaniem się — także i w stronę chłopa — do wielkodusznego męstwa i do baczności. Do tego samego męstwa i tej samej baczności, której domagają się słowa: — Czuwajcie, bo nie wiecie dnia ni godziny.

MARIA DĄBROWSKA

CZESŁAW JANCZARSKI

NOCNY PTAK

Zaszło słońce —
jeszcze nad pagórkiem wiszą łodygi żółte i sine
aż po czarną brew lasu na horyzoncie.

W wieczoru dolinę zbiega stado żółtozielonych dyń.
Stąd powiało od sadu zmierzchem płotu,
wonią jabłek wrześniowych i sosnowych skrzyń.

Ciemniało — wtedy z siwego klonu upadł liść ptasich lotów
i nagle krzyknął głośno nocny ptak.
Klaskanie pobiegło wzdłuż ścian topoli, wróciło drżące pod gałęzi niszę.
Cienie krzyku i ech błąkały się w sadzie długo, skrzydłami biły po pniach,
trzepotały o czuby zmroku — dwa srebrne klawisze.

Żałosne szyby chaty dalekiej, żółte oczy psa
błyszczą i gwiazdy w obłoku białawej grzywie.

Po co wołasz, ptaku, z nocy ciemnego dna?

Nie mogłem ukryć lęku:
patrząc w mroczne strychy jabłoni i grusz
krzyż nakreśliłem ręką.

KONGRES FILOZOFICZNY W PARYŻU

W ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu na czoło zjawisk, uwydatniających międzynarodowy charakter nauki, wypłynęły zjazdy czyli kongresy naukowe. Zjazdy takie, gromadzące zazwyczaj znaczną liczbę uczestników, jako przedstawicieli tej samej dziedziny wiedzy w rozmaitych krajach, odbywają się prawie zawsze w regularnych odstępach czasu, najczęściej co trzy, cztery lub pięć lat. Pierwszy międzynarodowy zjazd filozoficzny odbył się w r. 1900 w Paryżu, równocześnie z wystawą międzynarodową, której pierwszy pomysł i realizacja są również własnością stolicy Francji (pierwsza wystawa międzynarodowa sięga jednak roku 1867), na rok bieżący przypadł zaś dziewiąty już kongres filozoficzny. Kongres poprzedni, ósmy z kolei, miał miejsce w Pradze w r. 1934, ponieważ zaś zjazdy filozoficzne odbywają się co cztery lata, IX kongres powinien był odbyć się w r. 1938. Jednakże, ze względu na trzechsetlecie ukazania się pierwszej edycji dzieł Kartezjusza, przypadające właśnie na r. 1937, powzięto na Zjeździe w Pradze decyzję, aby zjazd następny odbył się w roku bieżącym w Paryżu, co służyć miało jednocześnie jako wyraz hołdu świata filozoficznego pamięci ojca filozofii nowożytnej, jakim był René Descartes. Toteż Zjazd tegoroczny nosił tytuł oficjalny „Congrès Descartes".

Rok bieżący zaznaczył się niebywałą ilością zjazdów międzynarodowych, odbywanych w Paryżu. Było ich *kilka setek*. Kongres filozoficzny rozpoczął się oficjalnie dn. 31 lipca, zakończył się zaś dn. 6 sierpnia. Honorowym przewodniczącym Kongresu był Bergson, faktycznym zaś prezesem komitetu zjazdowego był znany historyk filozofii, profesor Sorbony, Emile Bréhier, a sekretarzem — młody i bardzo obiecujący estetyk, Raymond Bayer.

Przebieg zewnętrzny Kongresu był dość urozmaicony. Otwarcia Zjazdu w wielkiej sali amfiteatralnej Sorbony dokonał — w obecności prezydenta republiki Lebruna — minister oświecenia Zay, po czym przemawiali w imieniu świata filozoficznego Francji prof. L. Brunschvieg oraz prof. Bréhier, wreszcie w imieniu wszystkich uczestników zagranicznych — przedstawiciel Anglii, lord Samuel. Niezależnie od tego odczytane zostało pismo prezydenta honorowego Zjazdu, Henryka Bergsona, który ze względu na zły stan zdrowia od dłuższego już czasu wycofał się z życia publicznego i na Zjazd przybyć nie mógł. Faktyczne prace kongresowe rozpoczęły się w dniu następnym o godz. 9 rano, przy tym przedpołudnia zostały zarezerwowane dla posiedzeń plenarnych, popołudnia zaś — dla posiedzeń poszczególnych sekcji. Dodać trzeba, że większość wieczorów przeznaczona była na zebrania towarzyskie, których początkiem był piękny bankiet, wydany na cześć uczestników Zjazdu przez ministra Zay'a w drugim dniu obrad zjazdowych. Najważniejszą jednak i najciekawszą z imprez, związanych z Kongresem, była kilka dni trwająca wycieczka w strony rodzinne Kartezjusza, podjęta nazajutrz po zamknięciu Zjazdu. Jak widać z powyższego, Komitet Zjazdowy uczynił wszystko, co było w jego mocy, by uprzyjemnić uczestnikom pobyt w stolicy nadsekwańskiej. Samo zamknięcie Zjazdu odbyło się dn. 6 sierpnia w atmosferze równie uroczystej, jak otwarcie, a przemawiali na nim przedstawiciele poszczególnych krajów, jako szefowie poszczególnych delegacji. W imieniu Polski przemawiał prof. Wł. Tatarkiewicz, który złożył zarazem prezydium Kongresu adres zbiorowy wszystkich towarzystw filozoficznych w Polsce.

Prace Kongresu obracały się dokoła sześciu wielkich tematów *(thèmes maîtres)*; były to: 1) stan aktualny badań nad Kartezjuszem; 2) jedność nauki: metoda i metody; 3) zagadnienia logiczne i matematyczne; 4) przyczynowość i determinizm w fizyce i biologii; 5) zagadnienie transcendencji; 6) zagadnienie wartości i norm. W związku z powyższymi tematami zaklasyfikowane zostały referaty, zawczasu nadesłane Komitetowi, a było ich tak wiele, że składają się one na 12 tomów! Jak doskonała zaś była organizacja Zjazdu, świadczy fakt, że owych 12 tomów wręczono każdemu z rzeczywistych członków Kongresu już w chwili jego rozpoczęcia się!

Zjazd zgromadził wielu znakomitych filozofów i uczonych, interesujących się filozofią, nic więc dziwnego, że zwłaszcza posiedzenia plenarne bardzo były ożywione. Przemawiali na nich głównie przedstawiciele t. zw. filozofii naukowej, m. in. Hans Reichenbach i Federigo Enriques. Pierwszy znany jest przede wszystkim jako teoretyk indukcji, drugi — jako wybitny matematyk i historyk nauk ścisłych o podkładzie filozoficznym. Zresztą przemawiali również właściwi przedstawiciele nauk ścisłych, m. in. Maurycy de Broglie, znakomity fizyk, brat Ludwika, laureata Nobla, który w zastępstwie nieobecnego brata przeczytał jego referat o indeterminizmie w dziedzinie fizyki, dołączając zarazem własny swój referat z tej samej dziedziny zagadnień. W ostatnim dniu, poświęconym zagadnieniom wartości, zajmowano się na plenum m. in. również odwiecznym zagadnieniem istnienia Boga i jego dowodliwości, a mianowicie filozof rumuński Petrovici wystąpił jako obrońca tzw. dowodu kosmologicznego, w swoim czasie skrytykowanego przez Kanta.

Filozofowie polscy brali wydatny udział w pracach Zjazdu, gdyż samych referatów polskich było około 20, a zgodnie z programem pięciu filozofom polskim przypadało przewodnictwo na posiedzeniach sekcyjnych. Obecni byli, m. in. — z Warszawy: prof. Tatarkiewicz, doc. Turski i doc. Wallis-Walfisz, ze Lwowa: profesorowie Chwistek, Ingarden i Kreutz, z Krakowa: prof. Zawirski, doc. Chmaj i dr Gielecki, z Wilna: doc. Elzenberg i niżej podpisany, z Poznania: doc. Rybicka i dr Wize.

Przyszły Kongres odbędzie się za cztery lata, a więc w r. 1941, w Holandii, w niewielkim, lecz starożytnym mieście uniwersyteckim Gronindze. Wybór Holandii pozostaje w tym wypadku również w związku z osobą Kartezjusza, który, jak wiadomo, długie lata życia swego spędził w Holandii — w kraju, który bardzo wysoko cenił i w którym znalazł spokój, tak bardzo potrzebny dla twórczości duchowej. Toteż wybór Groningi jest jeszcze jednym wyrazem hołdu dla pamięci Descartesa i ducha francuskiego.

Niełatwą jest rzeczą sformułować ogólne wrażenie z IX Kongresu Filozoficznego. Być może najlepiej i najłatwiej byłoby to uczynić przez porównanie ze zjazdem w Pradze. Zjazd tegoroczny był niewątpliwie bardziej imponujący, i to pod każdym względem. Trwał dłużej, zgromadził bez porównania większą liczbę uczestników, obfitował w liczbę referatów bez porównania większą, aniżeli VIII Zjazd. Lecz byłoby rzeczą próżną i złudną przypuścić, że przyczynił się on do znacznego posunięcia naprzód problemów filozoficznych. Natomiast znaczenie kongresów jest bardzo wielkie ze względu na to, że dają one możność uczonym z rozmaitych krajów nawiązania osobistego kontaktu, który niczym przecież zastąpić się nie da; poza tym zaś zetknięcie się uczonych, przybyłych ze wszystkich stron świata, sprzyja rozszerzeniu własnych horyzontów i bardziej krytycznemu stosunkowi do rodzimej twórczości. Charakterystyczna pod tym względem jest pewna różnica atmosfery, jaka bądź co bądź dała się zaobserwować pomiędzy IX Zjazdem Międzynarodowym w Paryżu, a np. naszym zeszłorocznym Polskim Zjazdem Filozoficznym w Krakowie.

BOGUMIŁ JASINOWSKI

ROSA BAILLY

STRUMIEŃ

Strumyczek mknie:
Co krok, to skok.
Spłukuje, trze
Granitu blok.
O brzegi rwie
I ginie w mgle:
Zapada w mrok.

Cieniuchna nić
Rozsnuta w sieć
Zaczyna lśnić
I lśnić i drżeć...

Już przepadł, znikł:
Jak biały kłąb,
Rzuciwszy krzyk
W otchłani głąb.

...Rozmachem swym
Porywa w tan,
Rozpyla w dym
Kropelki pian.
I niesie w wir...
Nad piargu żwir...

Wśród nagich skał
Z tej mgły i par
Wyrasta zwał
Upiornych mar...

Przekład *JADWIGI WAŻEWSKIEJ*

MIĘDZYNARODOWE ZRZESZENIE PLASTYKÓW

Podczas Kongresu belgijskich Zawodowych Związków Artystycznych w Antwerpii w grudniu 1933 r. rzuciłem myśl stworzenia Międzynarodowego Zrzeszenia Związków Artystycznych. Zdawało mi się, że wiele spraw może być załatwionych w dziedzinie ogólnoświatowych zagadnień z jak największym pożytkiem dla ogólnego dobra artystów. Konieczność tego zrzeszenia wydała mi się pierwszorzędnej wagi.

Idea ta została przyjęta przez wszystkich uczestników Kongresu. Zawodowy Związek Belgijskich Artystów skorzystał z Międzynarodowej wystawy w Brukseli w 1935 r., aby zwołać Międzynarodowy Kongres spośród tych państw, gdzie artyści byli mniej lub więcej zorganizowani już w związki zawodowe. Kongres był dla inicjatorów prawdziwym zwycięstwem. Sześć najważniejszych w dziedzinie sztuki narodowości europejskich było reprezentowanych przez oficjalnych delegatów związków artystycznych. Narodowościami tymi były: Austria, Belgia, Holandia, Francja, Niemcy i Polska. Sprawy, które były omawiane podczas tego zebrania, rozpatrywane były wyłącznie przez artystów a nie — jak działo się to zazwyczaj — przez ludzi dobrej woli, którzy załatwiali nasze sprawy nie pytając o zdanie artystów, decydowali z rzekomą znajomością o sprawach, które są tylko naszą własnością. Pod tym względem pierwszy Międzynarodowy Kongres Artystów był czymś zupełnie nowym. Kto by chciał przeczytać szczegółowe sprawozdania z posiedzeń, spostrzegłby, że zagadnienia dotyczące sztuki nigdy jeszcze nie były omawiane z takim zdrowym sensem i realizmem. W wyniku wzajemnego porozumienia uchwalono założyć Konfederację Międzynarodową Związków Artystycznych.

Drugi Kongres w szczuplejszym gronie odbył się w Brukseli w 1936 r. Wtedy rozstrzygnięto cały szereg bardzo ważnych spraw z dziedziny organizacji wewnętrznej.

Trzeci Kongres Międzynarodowego Zrzeszenia odbył się w Paryżu w 1937 r. Brało w nim udział 11 narodowości. Poruszono na nim szereg spraw administracyjnych oraz opracowano statut. Wśród zgłoszonych wniosków jeden był szczególnej wagi. Wynikiem jego będzie międzynarodowa konferencja, która odbędzie się w niedługim czasie w Rzymie dla opracowania międzynarodowej umowy w sprawie eksterytorialności dzieł sztuki na wypadek konfliktu międzynarodowego.

Czwarty kongres Międzynarodowego Zrzeszenia odbędzie się w Amsterdamie w 1938 r., a następny w Niemczech w 1939 r.

Zadaniem Międzynarodowego Zrzeszenia Artystów jest poprawa warunków materialnych i społecznych wszystkich artystów. Staraniem Zrzeszenia jest udoskonalić sposób międzynarodowych wystąpień artystycznych przez współpracę wszystkich, podnieść znaczenie twórców sztuki we wszystkich dziedzinach i we wszystkich krajach. Międzynarodowe Zrzeszenie dążyć będzie do zbliżenia, wymiany myśli, liczy, że każdy kraj wykorzysta doświadczenia sąsiadów, zorganizuje biuro dokumentów o światowej działalności artystów, ogłaszając sprawozdania i biuletyny. Zrzeszenie starać się będzie, by wszędzie przeprowadzono myśl legalnego uznania zawodu artystycznego i popierać będzie te związki, które pragną urzeczywistnienia tej reformy. Zrzeszenie naciskać będzie na uregulowanie sposobów współpracy artystów zagranicznych, przeprowadzając zasadę, że do artysty, który otrzymał zamówienie z zagranicy, będzie obowiązkowo przydzielony współpracownik z kraju dającego pracę.

W dziedzinie spraw czysto praktycznych, a które mogą być załatwione natychmiast, Międzynarodowe Zrzeszenie chce zająć się sprawami celnymi, usiłując uzyskać wolne wprowadzanie i wywóz dzieł sztuki artystów żyjących, jak również wolny przewóz materiału potrzebnego do pracy dla podróżujących artystów, jak i wykonanych dzieł będących ich własnością.

Międzynarodowe Zrzeszenie Artystów powołane jest do służenia artystom wszystkich krajów. Nie trzeba dodawać, że w chwili obecnej porozumienie w skali międzynarodowej jest szczególnie ważne. Powinniśmy sobie poprzez granice podać przyjazną dłoń. To porozumienie będzie dla nas źródłem entuzjazmu i pokoju.

HENRI KERELS

JAPOŃSKI FILM O POECIE

400 filmów rocznie! Tyle wynosi produkcja filmowa Japonii, która zajmuje — jeśli chodzi o liczbę — drugie miejsce na świecie idąc zaraz po Stanach Zjednoczonych. Pomimo to film japoński jest w Europie zupełnie nieznany — nie potrafił on wyjść poza granicę swego kraju, nie umiał dokonać tej syntezy Europy z Azją, która dostatecznie pozbawiłaby go własnych cech, by nadać mu charakter filmu „egzotycznego". Był on, podobnie jak np. polska poezja romantyczna, zbyt odrębny, by przemówić do całego świata, był zanadto „narodowy".

A jednak filmy japońskie nie są pozbawione cech ogólnoludzkich, które pozwoliłyby im na zwrócenie się do całego świata, gdyż zawierają one szereg elementów przemawiających nie tylko do człowieka rasy żółtej, lecz także do Europejczyka. Przekonałem się o tym w czasie wyświetlania w Paryżu japońskiego filmu *Takuboku*, który miał wiele zupełnie rewelacyjnych momentów. Scenariusz filmu oparty jest na młodości znanego poety japońskiego z końca XIX w. i początku XX w. Hajimu Ishikawa, piszącego pod pseudonimem Takuboku. Już ten fakt rzuca znamienne światło na realistyczne zamiary twórcy filmu. Dzieło, które stworzył reżyser Kuko Kumahai, jest jednak dalekie od zdawkowego realizmu. Zawiera ono wiele poezji, która chwilami nadaje mu zupełnie nierzeczywisty charakter. Środki, jakimi posłużył się reżyser przy realizacji tego filmu, są niezwykle proste — pomimo to, a może właśnie dzięki temu, film robi potężne wrażenie. Jest on przeniknięty prawdziwą poezją widzianą w tak bezpośredniej projekcji, że nikt nie może przejść obok niej obojętnie.

Walka poety ze środowiskiem, stary jak świat konflikt jednostki z nie rozumiejącym jej tłumem, wypełnia całkowicie scenariusz filmu. Takuboku zmuszony jest opuścić stolicę, by przyjąć posadę nauczyciela w swej rodzinnej wiosce. Spotyka się tu z miłością swych uczniów i jawną wrogością „sfer oficjalnych": dyrektora szkoły i radnych wioski. W walce z tym światem starych przesądów i rutyny podtrzymuje go miłość miejscowej nauczycielki. Wrogowie Takuboku wykorzystują jednak przyjazd inspektora, by się pozbyć poety. Takuboku opuszcza wioskę z węzełkiem rzeczy i kijem podróżnym w ręku. Na wzgórzu dominującym nad drogą żegna go tylko nauczycielka z gromadą dzieci szkolnych, które śpiewają jeden z poematów Takuboku.

Film ten jest mieszaniną poezji i dziwnego realizmu. Osoby drugo- i trzecioplanowe opracowane są z drobiazgową wiernością, połączoną z charakterystyczną przesadą, np. inspektor szkolny, nieznośny służbista, którego głos przechodzi chwilami w bełkot przypominający szczekanie. Mowę swą zaczyna on jednak od zawikłanych rozróżnień filozoficznych, które mają realny charakter nie tylko dla niego, ale i dla większości obecnych, podobnie jak pełną wartość życiową ma poezja Takuboku dla dzieci szkolnych. W stylizacji głosu inspektora i niektórych scenach zbiorowych można odnaleźć dalekie echa teatru i filmu sowieckiego.

Jedną z najlepszych scen jest moment, gdy Takuboku idzie pod górę przez wysokopienny las i wymachując kijem tworzy poemat. Za nim, w pewnej odległości postępują dzieci szkolne, czatując na każde jego słowo. To poetyckie zapamiętanie się Takuboku i zajadła upartość idących za nim jak gromada wilków dzieci szkolnych, jest dziwnie silnym akordem filmowym, łączącym w sobie abstrakcję z realnością w poetycką syntezę.

Film ten daje nam wyobrażenie o różnicy istniejącej między kulturą Wschodu i Zachodu. Świadczy on, iż w państwie wschodzącego słońca poezja jest czymś realnym, dostępnym i interesującym wszystkich, a nie luksusem kilkunastu wybranych, widzimy, iż może ona być istotną potrzebą i elementem równie realnym, jak ogień, powietrze czy woda. W filmie tym nie ma tayloryzacji wzruszeń, do czego przyzwyczaiło nas kino amerykańskie, nie ma kolorytu lokalnego i skomercjalizowanych uczuć. Są tylko dzieje człowieka, dla którego poezja była nieodpartą koniecznością.

Takuboku został wyświetlony po raz pierwszy w Europie na specjalnym wieczorze zorganizowanym w Paryżu przez wielkie dzienniki japońskie *Nitiniti Tokio* i *Mainiti Osaka*. Film był udźwiękowiony, w części dialogowej pozostawiono oryginalne brzmienie japońskie. Niektóre części były zupełnie „nieme".

JAN BRZĘKOWSKI

KSIĄŻKI

RAOUL KOCZALSKI: *Frederic Chopin. Betrachtungen — Skizzen — Analysen.* Verlag Tischer et Jagenberg G. M. B. H. Köln — Bayenthal, 1936. Str. 221.

Książka słynnego pianisty, rodaka naszego mieszkającego stale za granicą, Raoula Koczalskiego, poświęcona Chopinowi, zasługuje na szczególną uwagę. Sam autor należy do najwybitniejszych wykonawców Chopina, a jako uczeń Karola Mikulego reprezentuje bezpośrednią tradycję szopenowskiego stylu.

Mikulemu i swemu do niego stosunkowi pełnemu czci i uwielbienia poświęca też autor pierwszy rozdział swej książki. Rozdział to, niestety, zbyt krótki, zważywszy nader cenne uwagi Mikulego o odtwarzaniu muzyki Chopina. W dwu następnych rozdziałach omawia autor życie Chopina, charakter jego twórczości *(Der Tondichter)* oraz styl jego pianizmu (*Der Klavierpoet*). Uderza w nich przede wszystkim niezmiernie głęboki, żywy i entuzjastyczny kult autora dla Chopina oraz serdeczna nuta narodowa, z jaką autor stale podkreśla na wskroś polski charakter jego twórczości.

W rozdziale poświęconym charakterystyce twórczości Chopina wysoce interesujące są uwagi na temat trzech okresów, jakie autor w niej wyróżnia, oraz na temat wpływu Chopina na Wagnera (za pośrednictwem Liszta). Nie mniej ciekawa jest treść następnego rozdziału, w którym autor na podstawie autentycznej tradycji opisuje styl gry Chopina, a w szczególności zastanawia się nad znanym — a tyle trudności nastręczającym — zagadnieniem t. zw. *tempo rubato.* Zagadnienie to, poniekąd techniczne, wiedzie nas do następnej i najbardziej zasadniczej części książki, zatytułowanej *Analizy.* W części tej, bardzo obszernej, autor podaje pięć programów koncertowych — niewątpliwie własnych, złożonych wyłącznie z utworów Chopina. Już sam układ tvch programów jest — zwłaszcza dla pianisty — bardzo ciekawy. Prawdziwą zaś kopalnię niezwykle cennych wskazań stanowią same „analizy“ utworów, zamieszczonych w owych programach. Dotyczą one genezy, ogólnej charakterystyki utworów, a przede wszystkim artystycznej ich interpretacji i technicznego wykonania.

Ta, niewątpliwie najcenniejsza, część książki obudzi też zapewne najwięcej zastrzeżeń. Jest to bowiem najbardziej sporny teren, na którym tradycji przeciwstawia się życie, a wszelkim kanonom — prawo indywidualności. Gdy jednak w stosunku do sztuki swoboda indywidualnej interpretacji znajdować powinna zawsze granicę w wewnętrznej strukturze samych dzieł, to wszelka ich analiza okazać się może pożyteczna dla ustalenia tej struktury. Zwłaszcza, gdy — jak w naszym wypadku dotyczącym utworów Chopina — dokonywa jej nie tylko świetny artysta, ale ponadto także autentyczny przedstawiciel bezpośredniej tradycji „stylu“ szopenowskiego.

MARIA MIRSKA

E. A. RHEINHARDT: *Napoleon i Eugenia,* powieść biograficzna. Warszawa 1937. Powszechna spółka wydawnicza „Płomień“. Str. 312.

Napoleon III zostawił po sobie wspomnienie człowieka, który nie dorósł do roli, jaka mu przypadła z tytułu jego nazwiska i osobistych ambicji. Potomność osądziła go surowo. Gdv klęska pod Waterloo nie zniweczyła wielkości pokonanego Napoleona I, to klęska pod Sedanem starła na proch Napoleona III. W nieczułej pamięci potomnych niemal nic z niego nie pozostało prócz bródki-napoleonki i niesmaku.

A przecież z drobiazgowej monografii Rheinhardta — niezupełnie szczęśliwie nazwanej powieścią biograficzną — nabieramy przeświadczenia, że był to człowiek uzdolniony, o wrażliwym sercu, o dużej skali zainteresowań, wykształcony, ambitny, obdarzony wielu zaletami. Napoleon I widział w swoim bratanku, którego znał dzieckiem, dobre serce i piękną duszę. To dziecko o dobrym sercu i pięknej duszy ulegało dwu sprzecznym wpływom swych wychowawców: matki, królowej Hortensji, i nauczyciela Le Bas. Matka wychowywała go na Cezara, który według swej woli powinien ugniatać historię jak ciasto i wskrzesić imperium i wielkość dynastii. Le Bas urabiał swego ucznia w duchu zasad sprawiedliwości, humanitaryzmu, demokracji i konieczności liczenia się z wolą i istotnym dobrem narodów. Napoleon III do końca życia nie wyzwolił się spod obu tych wpływów. Przy umyśle niedość głębokim, charakterze niedość zdecydowanym, ten coctail ideologiczny okazał się zgubny. Napoleon nie stał się w istocie ani republikaninem, ani Cezarem. Bywał na przemian to jednym, to drugim, to i jednym i drugim jednocześnie. Wydaje się, że z wewnętrznego impulsu, uczuciowo skłaniał się raczej ku liberalizmowi, jednocześnie jednak hipnoza własnego nazwiska i mistyka dynastyczna pchała go ku cezaryzmowi. Ten dualizm zaciążył nad całym jego życiem.

Śledząc kolejny rozwój wypadków, obserwując zachowanie i reakcje Napoleona, czytelnik to uśmiecha się z pobłażaniem, to żżyma, to wreszcie lituje się nad tragizmem jego losów, jako człowieka i monarchy. Podczas gdy w poszczególnych epizodach swej młodości Napoleon III przedstawia się jako Don Kichot i awanturnik, gdy nawet u szczytu powodzenia, jako cesarz, coraz to trąci kiepskim kabotynem, to w perspektywie czasu i w sumie tych epizodów, które składają się na całość jego żywota, na czoło wybija się tragizm tej postaci. Kulminacyjnym punktem tego tragizmu jest bitwa pod Sedanem, gdy cesarz na próżno usiłuje znaleźć śmierć na polu chwały i nie znalazłszy jej pisze swój straszliwie upokarzający list kapitulacyjny do Wilhelma.

Tragiczny zmierzch fantastycznej kariery Napoleona III, choć nie rozgrzesza go z licznych win i błędów, budzi dlań przynajmniej u schyłku jego żywota i na ostatnich kartach książki Rheinhardta cieplejsze uczucie. Jeszcze później cień sympatii, w formie współczucia, spływa i na cesarzową Eugenię, gdy traci jedynaka syna.

Dynamika tragizmu Napoleona III tkwi w rozpiętości między sztuczną, pozorną wielkością a rzeczywistą przeciętnością. Zakreślił sobie miarę wielkości na skalę swego stryja. Wszystkie wysiłki, całą pracę swego życia poświęcił na budowanie tej wielkości, ale nie miał jej w sobie. Okoliczności — zrazu przeciwne, z czasem zaczęły mu sprzyjać. Gdy z banity i dożywotniego więźnia stanu został najpierw prezydentem, a wreszcie cesarzem, zdawało się, że władza, potęga, sława i wielkość będą jego udziałem. Sedan zmiótł wszystko. Fakt, że jedna klęska unicestwiła wielkość, świadczy, że wielkość była pozorna.

STANISŁAW CZOSNOWSKI

EUGENIA KOBYLIŃSKA: *Niespodzianki małżeństwa.* Warszawa 1937. Towarzystwo Wydawnicze „Rój“. Stron 319.

Powieść poetki wileńskiej, Eugenii Kobylińskiej, stanowi dla czytelnika rzetelną niespodziankę. Czyta się ją lekko, ale niektóre partie książki są wprost przejmujące. Kobylińska podchodzi do tematu z pełnym obiektywizmem. Nie sugeruje swojego zapatrywania. Raczej dość wiarogodnie i plastycznie relacjonuje. Ta obiektywna relacja żyje własnym życiem artystycznym. Jest powieścią udaną, prostą, choć o dość natłoczonej treści. W artystycznej transpozycji zjawisk znać zapatrzenie się na mistrzowstwo Flauberta. Jej temperatura uczuciowa i zacięcie altruistyczno-społeczne przypominają niejednokrotnie Żeromskiego. Ton optymizmu wynika logicznie z materiału powieściowego i jest całkowicie usprawiedliwiony racją artystyczną.

Może temu trzeba przypisać bardzo ciekawe partie książki, odnoszące się do zagadnienia wiary. W powieści Kobylińskiej słowo Bóg jest akcentem mocnym. I stąd — druga, wtórna rzecz opromienia powieść Kobylińskiej. To fanatyczna, jakże wspaniała i miła sercu — miłość do opuszczonego dziecka.

Niespodzianki małżeństwa — to głęboki głos na rzecz dziecka, jego bezpardonowego prawa do rodziców, do szczęścia i bogatego w radość rozwoju dziecięcego.

Subtelne odczucie krzywdy socjalnej, dziwność świata w pryzmacie przeżyć duchowych Danusi — w artystycznym ujęciu Kobylińskiej stwarzają dzieło w pełni dojrzałe, odpowiedzialne powagą i nie przesentymentalizowane.

WAWRZYNIEC CZEREŚNIEWSKI

PRZEGLĄD PRASY

W siódmym zeszycie czasopisma *Oświata i Wychowanie*, wydawanego przez Min. W. R. i O. P., znajdujemy na wstępie wspomnienie ministra W. Świętosławskiego o prof. Józefie Ujejskim. Wspomnienie to zarysowuje obraz zmarłego uczonego z innej, mniej znanej strony: ukazuje w ś. p. Ujejskim „niezastąpionego inicjatora i światłego kierownika pracy zbiorowej“ w dziedzinie organizacji kultury w Polsce.

W tym samym numerze Józef Mirski ogłasza interesującą rozprawkę *Wychowanie a sztuka.* Praca ta nie zajmuje się aktualnymi, praktycznymi problemami wychowania estetycznego, lecz ustala jego podstawy filozoficzne i kreśli w szkicu perypetie tych idei w dziejach. Dwie idee wysuwa Mirski: 1) ideę społeczną: przeniknięcie pierwiastkiem piękna całej rzeczywistości praktycznej, uszlachetnienie życia, 2) ideę wychowawczą: odrodzenie człowieka pełnego w przeciwieństwie do produkowanego dotąd przez wychowanie typu przeintelektualizowanego i biernego konsumenta kultury. Postulaty te nie są i nie prędko będą urzeczywistnione; wymagają one zresztą jeszcze konkretniejszego, bardziej realnego sformułowania.

Trzeci numer dwumiesięcznika *Życie literackie* (Warszawa, Inst. Wyd. „Biblioteka Polska“) przynosi początek pracy M. Des Logesa *Uroszczenia teorii czynności artystycznej.* Praca ta będzie pierwszą poważną i gruntowną krytyką rozpraw teoretycznych Konstantego Troczyńskiego, równie oryginalnych i pobudzających, jak zawiłych i trudno dostępnych z powodu przerostu abstrakcyjnej terminologii. Ale na tym koniec: reszta numeru — to (pomijając błahy i nic nie znaczący szkic J. E. Płomieńskiego) nadmiernie rozrosłe przeglądy prasy, przypadkowo dobrane recenzje o drugorzędnych wydawnictwach i t. p. *Życie literackie*, dobrze pomyślane jako jedyne u nas czasopismo poświęcone teorii literatury, nie znalazło jeszcze dla siebie właściwej formy i poziomu.

Październikowy *Przegląd Powszechny* przynosi z rzeczy humanistycznych zajmujące i pouczające sprawozdanie S. J. Góry z dyskusji o problemie transcendencji i immanencji na paryskim kongresie filozoficznym; ponadto — szkic O. F. de Battaglii o Leopardim.

W krakowskim *Naszym Wyrazie* z października Adam Polewka ogłosił ciekawy szkic *Literatura faktów a czytelnik.* Autor wysuwa dwa rodzaje argumentów przeciwko reportażowi — argumenty z dwóch różnych stanowisk. Z punktu widzenia czystej sztuki zakwestionowaniu ulega teza, iż „istotą literackiej treści utworu jest... fakt lub szereg faktów, odpowiednio sam przez się emocjonujący czytelnika“; to artysta nadaje znaczenie faktom realnym. Mylny jest też pogląd, iż czytelnik poszukuje w literaturze faktografii; „nawet ludzie czytający reportaże społeczne nie tyle poszukują w nich faktów, ile przemawiającej ustami faktów tendencji“.

Nie mniej trafne są uwagi Polewki o społecznych przyczynach niechęci niektórych grup literackich do reportażu. Jest to „niechęć do sensacji dnia dzisiejszego, niechęć do sensacji rzeczywistości, która póki nie groziła katastrofami społecznymi, mogła być z pogodą ducha zamieniona na pieniądz. Dzisiaj przestała ona już być „naszą milusińską“ i stąd instynktowna literacka ucieczka od życia, od reportażu. Troska o prawdziwą, niezależną sztukę tak małą cieszyła się dotychczas opieką tych literatów, że trudno ją przyjąć za moment decydujący“.

Utalentowany młody prozaik Jerzy Andrzejewski zaczął ogłaszać w odcinku powieściowym *Prosto z Mostu* swą nową powieść *Ład serca.* Pierwsze rozdziały, dotąd ogłoszone, zapowiadają rzecz bardzo interesującą. Powieść dzieje się współcześnie na kresach wschodnich, panuje w niej nastrój posępny i dramatyczny, wydobyty środkami przypominającymi Conrada; główna postać księdza Siechenia ukształtowana została niewątpliwie pod wpływem Bernanosa. Mimo tych zależności początek powieści Andrzejewskiego odbija korzystnie od jego poprzednich drukowanych utworów; wskazuje, że autora *Dróg nieuniknionych* stać nie tylko na staranną robotę literacką, ale i na siłę — sugestywną siłę wyrazu.

Tęcza w numerze z października zawiera m. in. pożyteczny szkic popularny K. Sołtysika *Co to jest człowiek a co jego osobowość* oraz felieton Nowaczyńskiego o dramaturgu amerykańskim O'Neillu i jego ojczyźnie.

Wieczór poetycki Tadeusza Peipera, który odbył się w Zw. Zaw. Literatów w Warszawie dn. 19 października, rozległ się szerokim echem w pismach codziennych. Wieczór ten był podwójnym triumfem: poety i recytatora. Artysta krakowskiego teatru, Władysław Woźnik, ukazał słuchaczom „wewnętrzną siłę“ utworów Peipera, niewidoczną dla czytelnika obcującego z ich gołym tekstem książkowym. Oto wrażenia z wieczoru recenzenta *Czasu:* „Jakaż siła wyobraźni! Jaka energia poetycka bije z każdego wiersza. Jaka radość życia i jakie poczucie jego tragizmu. Jakże wobec nich blade i matowe wydają się strofy Skamandrytów!“

Słusznie stwierdza tenże sprawozdawca, że znakomity recytator Wł. Woźnik zbyt mało znany jest szerszej publiczności. Sztuka recytacyjna u nas stoi bardzo nisko; większość aktorów nie tyle *recytuje* ile *odgrywa* wygłaszane wiersze. Woźnik jest fenomenem wyjątkowym: nie traktuje on tekstu jako elementu popisu aktorskiego lecz używa wszelkich dostępnych mu środków technicznych dla podkreślenia i uwypuklenia „warstwy znaczeń“ — tego żywego ośrodka utworu literackiego.

Odpowiedzi Redakcji

Godło „Svengali“ — Otrzymaliśmy. Nowela zakwalifikowana do drugiego czytania.

Godło „Lech“ — Obie nowele odpadły przy pierwszym czytaniu. Rękopisy wysłaliśmy.

Godło „Tristan“ — Nowela *Rozbicie* — do zwrotu.

Godło „Wielkie miasto“ — Nowela *Ślepnę* — do zwrotu.

Jeden z 900 — Nowela Pana jest pod godłem „Drzewiej“. Odpadła przy pierwszym czytaniu. Rękopis wyślemy po otrzymaniu znaczków pocztowych.

P. Zofia D.-D., Warszawa — Wszystkie trzy nowele do zwrotu.

Godło „Niech przyjdzie wiosna“ — Nowela *Byle do wiosny...* została wyeliminowana po pierwszym czytaniu. Co zrobić z rękopisem?

Godło „Bolero“ — Nowela *Mocarka* — do zwrotu.

P. Józef P., Cz. Cieszyn — Nowela odpadła przy pierwszym czytaniu. Rękopis wysłaliśmy.

KSIĄŻKI NADESŁANE

ADAM CIOMPA: *Notatnik literacki.* Kraków 1937. Wydano nakładem Komitetu Uczczenia śp. A. Ciompy w Krakowie, z subwencją Ministerstwa W. R. i O. P.

KAROL GIDE: *Kooperatyzm.* Warszawa 1937. Nakładem „Społem“ Związku Spółdz. Spoż. Rzeczypospolitej Polskiej.

STANISŁAW THUGUTT: *Współzawodnictwo czy współdziałanie.* Warszawa 1937. „Społem“ Związek Spółdzielni Spożywców R. P.

MARIAN SOBAŃSKI: *Teatr polski na Śląsku 1922 — 1937.* Katowice 1937. Nakładem Tow. Przyjaciół Teatru Polskiego w Katowicach.

Ziemie polskie w malarstwie, literaturze i muzyce. Kalendarz Komitetu Budowy Muzeum Narodowego w Krakowie na rok 1938. Kraków.

Świat i Życie. Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury. Tom V, zesz. 5. Lwów — Warszawa. Książnica — Atlas.

ADOLF NOWACZYŃSKI: *Warta nad Wartą.* Poznań 1937. Nakładem Drukarni Polskiej.

EUGENIUSZ MYCZKA: *O polską ideę czynu.* Biblioteka „Kultury“ nr 7. Poznań. Naczelny Instytut Akcji Katolickiej.

TATIANA CZERNAWINA: *Zbiegowie z G. P. U.* Autoryzowany przekład z rosyjskiego Marii Czapskiej. Warszawa 1937. Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska“.

WACŁAW SIEROSZEWSKI: *W niepodległej Mongolii (Dalaj Lama),* powieść dla młodzieży. Warszawa 1937. Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska“.

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 13 — 15. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: **Józef Czechowicz** WYDAWCA: **Tow. Wyd. „Droga“ Sp. z o. o.**

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.